

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 90.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, $\frac{3}{15}$ czerwca 1861.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM III.

TREŚĆ NUMERU.

Józef Paszkowski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Gniezno. Gopło i Kruszwica, dokończenie (z trzema drzeworytami). — Częstochowa (dokończenie). — Kronika sztuk pięknych (muzyka). — Stara panna. kartka z życia imię pana Fulgentego, (dalszy ciąg). — Korrespondencya od redakcyi. — Ratusz w Poznaniu (z drzeworytem). — Szachy i rebus.

Józef Paszkowski.

Paszkowski był jednym z tych ludzi, którzy rwszorzednego talentu zastępując cicha, wolną pracę, dochodzą do znaczenia w kraju, opartego na niezaprzeczonej zasłudze. Nie każdemu dano być geniuszem i stwarzać, ale od woli każdego zależy, siły jakie posiada zużyć w ten lub inny sposób; Paszkowski zużył je w sposób najszlachetniejszy, — na służbie dla ogółu. Czyniąc sobie z pracy zadanie całego życia i pracując do zamknięcia oczu, oddał krajowi to, co mu był winien; nawzajem i kraj ma obowiązek względem swego pracownika, obowiązek wdzięczności i pomocy.

Urodził się Paszkowski w Warszawie 1817 roku i wychowanie odebrał w szkole ks. pijarów, z której z niejednakiem młodzień wychodziła usposobieniem naukowym, ale z jednakiem usposobieniem obywatelskim, to jest z miłością dla kraju i chęcią służenia mu wedle sił i rodzaju zdolności. Nasłuchawszy się przez lat sześć młodzieńców przykładów obywatelskiej zacności, mając przed sobą żyjące przykłady prawości i pracy, zapal do nauki czerpał z zapalu jaki czytał na czole swych profesorów. Praca umysłowa, podejmowana z pogodnym obliczem, uszczęśliwiająca rezultatami, silnie działająca na duszę, wdzięcznym była dla młodych umysłów zasiewem. Szczęśliwi ci, co się w takiej atmosferze wychowują, którym nauka nie bywa wykładaną dla niej samej; lub dla materyalnych zysków. To też i nie dziwny, że przy dobrém wrodzonym usposobieniu, pod takim kierunkiem wychowany Paszkowski, tak mocno umiłował naukę i tak bardzo przywiązał się do pracy. Okoliczności silniejsze niż wola młodzieńca i jego rodziców, sprawiły to, że s. p. Józef, po skończeniu szkół pijarskich, nie mógł uczęszczać na uniwersytet, ale przeto nie przestał się kształcić. Paszkowski wte-

dy wszedł do służby publicznej i całe życie przepędził w naukowej władzy, jako urzędnik administracyjny. Jakkolwiek poddanie się z całą rezygnacją pracy wcale nieodpowiedniej umysłowemu jego kierunkowi i sumienne spełnianie obowiązków w jej granicach, poczytanem być winno za zasługę Paszkowskiemu, jednakże nie ta praca, ścieśniona mniej więcej do mechanicznej rutyny, uczyniła go człowiekiem publicznym. Umysł jego nie takich potrzebował żywiołów: uczyniwszy zadość dla ciała, nie zakwitował on tym społeczeństwem, bo czuł, że mu się od jego

Poznał dokładnie, obok ojczystego piśmiennictwa, kilka języków nowożytnych, mianowicie: francuzki, niemiecki i angielski, a te posłużyły mu do wtajemniczenia się w całą mądrość, jaką w ich literaturze złożyły narody. Obdarzony otwartą inteligencją, potrafił urobić sobie sąd o wszystkim co czytał i to w indywidualności własnej przetrawić, traktował więc literaturę nie jak dyletant, ale jak uczony. W ten sposób ukształciwszy umysł, zaczął próbować samodzielnych sił, i zwróciwszy się na drogę tak zwaną literatury pięknej, początkowo snuł z własnej myśli. Pierwsze jego oryginalne poezye ukazały się w *Bibliotece Warszawskiej*: gładkim napisane wierszem i wyborynym stylem, cechowały one zdolnego pisarza, ale nie odznaczały się piętnem natchnienia. To też w porę spostrzegł się Paszkowski: z żalem może ustąpił ze szranków twórczości, gdzie wyjątkowi tylko ludzie odznaczyć się mogą, a rozważwszy że w poezyi drugorzędność nie ma dla siebie jutra, postanowił w inny sposób spożytkować naukę swą i właściwy stopień talentu: rozpoczął na wielką skalę przekłady arcydzieł poezyi obcej, wybierając rozumieć się to, co najbardziej dla myśli polskiej, dla ukształcenia polskiego przydać się mogło.

Pomiędzy tłumaczem a tłumaczem są wielkie różnice. Tłumacz pragnący tylko rozgłosu i wzięcia dla swojej pracy, bierze rzeczy dzisiejsze, upodobane, przypadające do wszystkich usposobień, bez względu jaka jest absolutna wartość dzieła; jest to więcej spekulacya niż zasługa, a jeżeli nawet zasługa, to ta zazwyczaj nieźle się opłaca. Inny nie ma na względzie nic prócz wielkości dzieła, które wytrzymało już próbę perspektywy wieków. Przekład takich dzieł jest tylko owocem prawdziwej miłości piękna, pracą bezinteresowną; niepowodzenie nawet w tym razie nie narusza bynajmniej zasady i przyjętem być winno jako ofiara. W takiej to myśli Paszkowski zabrał się do Szekspira, aby go literaturze naszej przyswoić. Ażeby być tłumaczem Szekspira, nie dosyć jest znać język; trzeba nadto zrozumieć ten geniusz niepodległy, pokrewny Sofoklesowi i innym tragikom greckim,

JÓZEF PASZKOWSKI. (Rysował Polkowski, podług fotografii Beyera.)

zdolności coś więcej należy. Pod wpływem wspomnień jakie wyniósł ze szkół, o własnych już siłach szedł dalej na drodze umysłowych zajęć, ciągle snąc mając na myśli, że z tego cokolwiek dla kraju przybędzie.

z którymi Szekspira łączy wielkie podobieństwo. Nie zasada się ono na jakimś literalnym lub wykonawczym naśladowaniu, na przypadkowym zbliżeniu charakterów (Edyp w Kolonie, król Lir.), ale na wrodzonym kie-

runku ducha i pewnym wspólnym usposobieniu umysłu, bez względu na ogromny rozdział czasu i wszelkie odnowienie świata. Takie to spotkanie się geniuszów wypływa z niewyczerpanej skarbnicy uczuć ludzkich i z wiekiuistych objawień, które Bóg ludziom udziela. Czas i forma niewielkie ma tu znaczenie: dlatego to Szekspir tak bardzo podobnym jest do tragiczków greckich, tak bardzo różnym od społecznych sobie tragiczków francuskich. Dramat Szekspira jakiegokolwiek osnowy, jest obszerny jak świat, dowcipny, ironiczny, obserwacyjny; niema głębi duchowej którejby nie zgruntował, niema tajemnicy moralnej którejby nie dojrzał. Ale dramat ten przedstawia dziś obraz starego mistrza, zakurzony, z farbami poblakłymi przez działanie czasu, z rysami dla wielu oczu już niewyraźnymi. Kopiując go więc, trzeba zostawić godność i powagę twórcy, mistrzostwo jego dotknięć, jaką miała całość, a kolorystowi nadać właściwą jasność. Do takiego zadania przystępuje się tylko z ogromnym zapasem estetycznej wiedzy i nie inaczej jak odgadnąwszy wszystkie tajemne zamiary ducha pierwotnego mistrza. Tak przygotowany przystąpił do pracy Paszkowski i dlatego jej podolał. Praca jego nosi na sobie cechy nietylko ogólnych studyów nad literaturą angielską i historią, ale osobno nad duchem dzieł Szekspirowych, śledząc w nich i najogólniejszych pomysłach, i myśli przewodniczącej, i najdelikatniejszych odcieni wykonania. Już to Paszkowski w każdej czynności odznaczał się sumiennością prawie pedantyczną; miał tę ambicję, aby wszystko co z jego ręki wychodzi, było odrobionem bez zarzutu; to też choćby mu kto zarzucił, że nie wszystko wykonał dobrze, ale każdy musi przyznać, że zrobił wszystko co tylko mógł, aby rzecz była dobrze wykonaną. Takim jest jego tłumaczenie Szekspira. Widzimy w nim staranność zadziwiająca i trudności mechaniczne, pochodzące to z gry wyrazów, to z różności pojęć wiekowych i narodowych, pokonane najszczęśliwiej; niema szkopolu, któregoby tłumacz nie obszedł, czyniąc co tylko można, iżby w niczym nie zatrzęć, nie przestoczyć oryginału, tak co do treści, jako i formy. Może ktoś powie, że w przekład swój nie dosyć technął poetyczny ducha. Trudna rada; powiedzieć prawdę, to żeby odtworzyć Szekspira w całej pełni warunków oryginału, trzeba być samemu niemal podobnej potęgi twórcą; ale też ludzie tak wysokiego talentu nie wiem czyby się chętnie ograniczyli do przetwarzania cudzej myśli; więc tym sposobem na przekłady obcych arcydzieł czekać moglibyśmy wieki, pókiby nam jaki Mickiewicz nie przetłumaczył *Giaura*, lub *Słowacki księcia Niezłomnego*. Geniusz może coś zrobić dla koleżeństwa, ale innym jest jego obowiązek główny: to też prace takie, jak tłumaczenia, zostają w atrybucji mniej wysokich uzdolnień. Jakkolwiek bądź, te dziesięć tragedji Szekspira, które nam dał Paszkowski w Bibliotece Warszawskiej, prowadzą łatwą i przyjemną drogą do poznania wielkiego poety Anglii; są to przekłady najlepsze jakie posiada literatura nasza, a pomiędzy niemi pierwsze co do wartości poetycznej miejsce zajmuje *Król Lir*.

Oprócz Szekspira, tłumaczył jeszcze Paszkowski niektóre dzieła Bajrona i inne mniejsze lub większe poemata, to angielskie, to niemieckie: część ich ogłosił drukiem, a część, i to powiadają największa, zostaje w rękopiśmie. Staraniem powinno być ludzi interesujących się dobrem literatury i poczciwą pracą człowieka, aby wszystko co Paszkowski drukował lub zostawił w tece, wydane było razem, choćby to wszystko, zwyczajną koleją prac najgodniejszych obieg, miało stać napółkach księgarskich, do czasu aż ogół nasz uczuje w duszy potrzebę czytania czegoś innego jak powieści i kształcenia się na czem innem jak na felietonach.

Pisał Paszkowski i rozmowane artykuły: znany w Bibliotece Warszawskiej kilka jego rozpraw z literatury angielskiej i piękna recenzja zbiorowego dzieła p. Pruszkowej p. t. *Rozrywki dla młodocianego wieku*. Żalujemy, że pracując nad Szekspirem, nie dał nam rozumowanego wykładu jego dzieł i ducha: byłby to sąd u nas najkompetentniejszy. Ale nie obwiniamy go o zaniedbanie; i bez tego zrobił on wszystko co mógł, nie stracił ani jednej chwili, nie obrócił ani jednej godziny życia na co innego, jak na pracę; dowodem to co wypracował, korzystając z niezaplaczonego czasu.

Jakkolwiek Paszkowski życiem swém położył zasługę dla społeczeństwa, jednakże nie powiniemy, aby zdolności jego właściwie były spożytkowane: powiadamy owszem, z bolesnym przekonaniem, że nam zmarnował się ten człowiek. Miejsce jemu właściwe było na jakiej katedrze wyższego naukowego zakładu, w żywym ognisku umysłowym, gdzieby wszystek czas, nie zaś małą jego częśćką, poświęcić mógł na kształcenie siebie i drugich, gdzie nauka byłaby dla niego

razem i zadowoleniem duszy i sposobem do życia. Okoliczności przykuły go do podrzędnego stanowiska, ponad które wybił się tylko wrodzoną siłą inteligencji i wolą niezłomną. Umarł, w 44 roku życia, to jest kiedy inni w najlepsze zabierają się do pracy. Zwłoki jego w dniu 19 kwietnia odprowadziliśmy na cmentarz powązkowski. *Kazimirz Kaszewski.*

Kronika tygodniowa.

W tych dniach doznałem czystych rokoszy, jakich doświadcza każdy człowiek nowe drogi torujący dla ludzkości.

Zrobiłem odkrycie.

I nie sądzicie wcale żeby to był nowy jaki związek glinu, z rozmaitemi bardzo pożądanymi zastosowaniami w nauce i praktyce; nie sądzicie żeby to była jaka niedorośla planetka, z tego całego nowo poznane towarzystwa, które kołuje sobie pomiędzy Marssem a Jowiszem, niby tancerze na dobrze urządzonym balu.

Moje odkrycie innego jest zupełnie zakresu, i jeszcze raz powtarzam, że toruje ono nowe drogi dla ludzkości, ale czy ludzkość niemi pójsz zechce, to jeszcze wielkie pytanie.

A bierzcie słowa moje w najprostszym ich znaczeniu, nie będę was bowiem dłużej dręczył próżnym zaciekawianiem i powiem że odkryłem... nową ulicę. To jest nie śmieiem twierdzić żeby ta ulica była zupełnie nową, dawno bowiem istniała już ona w Warszawie w samym środku miasta; ale pomimo tego, dla mnie pierwszego, chociaż cieszę się zaszczytnym tytułem miejscowego sprawozdawcy, i dla wielu z was zapewne, jakkolwiek urodzonych w Warszawie i tu wychowanych, ten zakątek starego naszego grodu jest prawdziwą Ameryką.

Warto więc o tej Ameryce coś powiedzieć.

Ale najlepiej rzecz zacząć od początku, to jest od wypowiedzenia jakim sposobem wszedłem na tor, który mnie do tego wiekopomnego odkrycia doprowadził.

Byłem na przechadzce na Foksalu.

A czy wy znacie Foksal, ten prawdziwy wiejski ogród, położony w samym środku Warszawy, przy jednej z najgłówniejszych ulic, to cieniste i ugajone ustronie, wabiące wonią starych drzew swych i świeżym powietrzem z całego zawiślańskiego obszaru w pełni tam bijącym, o kilka kroków od spalonego słońcem chodnika i nieznośnej drogi żwirowej, której utrzymanie roczne kosztuje tyle, ile nowe zabrukowanie całego miasteczka, a czyni przechadzkę na Nowym Świecie niepodobną?

Foksal, to przechadzka zwykła tych, którzy w ogrodzie nie szukają strojów ani twarzy nowych, ale drzew, chłodu i świeżego powietrza; Foksal, to wielka, cieniasta, z drzew odwiecznych złożona aleja, prowadząca przez cały ogród aż do niskiego muru, z poza którego widok na nadwiślańskie rozciąga się okolice.

Foksal, to samorodne altanki prawdziwie wiejskiego stroju i wzgórek, na którym uśiadłszy, można dumać sobie swobodnie, zapuszczając wzrok w głębie lasów zawiślańskich. Foksal, to kilka kobiet w skromnych ubiorach, przesuujących się jak cienie po alejach, to kilku mężczyzn chodzących parami i zatopionych w poufnej rozmowie, to wreszcie echo miłego śmiechu dziecięcego, które jedno przerywa tu uroczystą ciszę, rozchodząc się zdala pośród klombów i trawników.

Na Foksalu (właściwie tak nazwanym, bo i tam gdzieś w bliskości bawarski ogródek, gdzie one nie trafia?) nie znajdziesz ani estrady dla czeskiej lub niemieckiej muzyki, która za niepokój i utrudzenie jakie ci sprawia, koniecznego od ciebie wymaga podatku, ani tych nieznośnych bufetów, z niedopieczonymi kurczętami, roztopionymi lodami, zwarzoną kawą i kwaśnym kalteszalem, ani tych gości obojętnej płci z wystrojoną świątecznie fizygnomią, niby lalki garnirujące salon....

Jedyny przedawany tam przysmak, to mleko słodkie i kwaśne i chleb razowy, wieczera dziwnie przypadająca do tego prawdziwie wiejskiego ustronia.

Lubię Foksal, bo nie stał się on jeszcze modną przechadzką, bo swobodnie tam jeszcze można oddychać i myśleć.

Otóż więcie zapewne, że do tego ogrodu prowadzi długie a wąskie podwórze, niby jaka uliczka, z parkanami po obu stronach.

Przechodząc tamtędy jednego z dni upłynionych, spostrzegłem że w pewnym miejscu parkan był rozzerwany, wiatr zwałił kilka tarcic i uczynił otwór,

przez który wyglądały stare domostwa drugiego jakiegoś podwórka.

Był więc wyłom, jakżeż tu na wyłom nie wstąpić? Sama natura już do tego ciągnie.

Przeszedłszy ową naprędce zaimprovizowaną bramą, ujrzałem się w wąziem, drobnem i niebardzo czystym podwóreczku jednego z tych domów, co już nie Warszawę, ale chyba Błonie lub Piaseczno przypominają.

Przedemną była furtka.

Ciągnąc dalej moje badanie, przestąpiłem tę furtkę i ujrzałem się na ulicy.

Ulica to jest wązka i dość niepozorna; bruku tam ani znaku; o powozach ani dorózkach nikt nie słyszał; na środku ulicy leżą kupy rozmaitych śmieci z domów wyrzucanych, a na nich bawią się dzieciaki, mniej więcej podobne z ubioru i fizygnomii do owego małego żebraka hiszpańskiego, którego uwiecznił Murillo.

Przed drzwiami domostw, na progach, na schodach, siedziały kobiety z różnemi robotami; z powodu ciepła wszystko wyległo z domów i rozkładało się pokotem, jak za dobrych czasów patryarchalnych.

— Gdzie ta ulica prowadzi? zapytałem jednej z kobiet, która ze zdziwieniem przyglądała mi się, jako niezwykłemu gościowi.

— A nigdzie, proszę pana.

— Jakto nigdzie?

— A niech się pan przekona. Dawniej tu było przejście; tam na końcu oto, ale je policja kazała zamurować, z powodu wielkich złodziejstw.

— To tu były złodziejstwa?

— A jakże, proszę pana; ta ulica przecie sławna z tego.

— I jakaż jej nazwa?

— Nazywa się Szczygła, proszę pana...

Wody mineralne coraz bardziej zaczynają się ożywiać pijącymi. Wiele osób używa ich z wyraźnego przepisu lekarskiego, ale są i tacy, którzy je piją nie poradziwszy się nawet lekarza, i wychodząc z takiej na przykład zasady, że te lub owe wody pomogły ich przyjacielom albo znajomym, więc muszą być skuteczne.

Czasem z tego dość oryginalne tworzą się stępstwa.

Któregoś dnia w zeszłym tygodniu, jakiś czopasły a wąsaty jegomość przybył do zakładu mineralnych przy ogrodzie Krasiańskich, niosąc ku kufel kwartowych rozmiarów.

Postawiwszy ten kufel na bufecie, zaczął się rozglądać na prawo i na lewo.

— Jakie wody pan pije? zapytała panna stojąca za bufetem.

— Proszę mi dać co pierwsze z brzoza, odpowiedział ów jegomość; ja słyszałem że tu bardzo dobre wody, więc powinny mi pomódz.

Jak wiadomo, pierwszym z brzoza jest Sprudel, woda karlsbadzka, do bardzo wysokiej podniesiona temperatury.

Bufetowa spojrziała z zadziwieniem na pacjenta, wzięła kufel do ręki i uląkszy się jego rozmiarów, napelniła go mniej więcej do trzeciej części kipiącą wodą.

Pacjent, spostrzegłszy to, zmarszczył brwi.

— Proszę mi nie żałować, rzekł oddając napowrót naczynie. Ja płacę gotówką, więc mam prawo do całego kufła.

— Ależ panie, to przeszło kwarta.

— Co pannie do tego? Kiedy płacę, dla czegożbym miał sobie zdrowia żałować?

Bufetowa wrzuciła ramionami i napelniła kufel do brzoza.

Pacjent wypił duszkiem bez skrzywienia się i poszedł na zwykłą przechadzkę.

Po dziesięciu minutach zjawił się znowu i powtórzył poręczą.

Po dalszych dziesięciu minutach, jeszcze jedna poręczą, i to bez uronienia najmniejszej kropli.

Ale bufetową zdjął wielki strach.

— On chyba pęknie, rzekła sobie w duchu; już pęcznieje widocznie. Nie mogę brać na siebie odpowiedzialności, trzeba iść opowiedzieć się dyrektorowi.

Kiedy więc pacjent zjawił się z żądaniem czwartą poręczą, spotkał dyrektora, który zaczął mu przekładać, że wody karlsbadzkie nie piją się w tak wielkiej ilości.

— Ja chcę prędko skończyć kurację, odpowiedział chory; przecież dla panów to wszystko jedno.

— Nie przeczę, ale Sprudel to silna woda, bardzo gwałtownie działa; trzeba z nią ostrożnie. Czy panu doktor tak silną kurację nakazał?

— E, ktoby się tam radził doktora. Ja piję wody, bo chcę żeby mi przywróciły apetyt; a mniejsza o to

czy to Sprudel, czy co innego. Jeżeli gwałtownie działa, to tym lepiej, bo i ja gwałtownie chcę być zdrow.

Zaledwie po wielkich targach dyrektor potrafił wymóżyć, że chory zgodził się na połowę kufła; ale już od tej ilości nie chciał ani kropli odstąpić.

Już od kilku dni trwa ta dziwna kuracja. Jeżeli pacjentowi apetyt wróci, zacniemy wierzyć w cuda.

Powiadają że muzyka ma swoją mowę, dla niektórych wybrańców dokładnie zrozumiała. Wielu bardzo zaprzecza temu, twierdząc że cała roszkosh muzyki, cała jej poezja, leży właśnie w tym nieokreślonym uczuciu, jakie ona w nas sprawia, w tym marzeniu, do jakiego nas usposabia. My osobiście przychylniejsi się zawsze do ostatniego zdania, i dlatego dziwnymi nam się wydawały tytuły niektórych utworów muzycznych, jak na przykład: *Noc weselna*, *Morskie wybrzeże*, *Gwiazda spadająca* i t. p., bo nam się zdawało, że morskie wybrzeże mogło być bezpiecznie nocą weselną, i nawzajem.

Tymczasem dzisiaj przychodzi nam ze wstydem złożyć broń i zaprzeczyć własnym słowom naszym. Przypadek odkrył mi całą tę tajemnicę.

U pewnej bogatej panny, bywa młody człowiek dość niezamożny, ale obdarzony znakomitą talentem muzycznym.

Miłość ich zaczęła się przy granicy na cztery ręce uwertury z Halki, a Otto łucznik Mincheimera uczucie to stwierdził harmonijnym akordem.

Ale co złączył fortepian, ludzie rozdzielić pragną; rzadko kiedy młodzi dyletanci mogą być z sobą sam na sam, zawsze ktoś ich pilnuje i podслуhuje ich rozmowy.

Ażebym tu zaradzić, ułożyli oni sobie na fortepianie nowego rodzaju alfabet: całe tony znaczą litery, półtony znaki pisarskie, pauzy zakończenie wyrazów, akord zaś ma oznaczać że się frazes kończy.

A wystawcie sobie, o ile ta mowa jest lepszą od zwyczajnej, jaką tam ekspresyją można zachować, jak się uczucie wyraża fortissime; czasem, przy mocnym rozanimowaniu się rozmawiających, tak serce wzbiera kochankom, że aż struny pękają.

W tych czasach ukazało się kilka przekładów z greckiego. Literatura nasza uboga jeszcze jest w tego rodzaju prace, dlatego też każdy taki objaw uważamy za pożądany. Donoszą nam z Poznania że profesor Węclewski tamże pracuje obecnie nad przekładami Eschileasa i Teokryta, które niedługo zapewne ukażą się w drukarni. Przy tej sposobności muszę wspomnieć, że sławny krytyk francuzki Saint-Marc Girardin, oceniając prace tragiczków greckich, powiedział: „Od Eschileasa do Sofoklesa taki sam jest przedział, jaki znów istnieje od Sofoklesa do Eurypida. Jeżeli Eschiles jest orłem, to Sofokles będzie sokolem, a Eurypid białym gołębiem tylko. Lot tych talentów coraz niżej sięga.“

Może nie zupełnie godzimy się na to zdanie, niemniej jednak przynajmniej musimy całe uwielbienie nasze dla ojca tragedji greckiej, który starożytną prostotę najlepiej potrafił ująć w dramatyczne ramy. Pomnikowy to człowiek, ten poeta, rycerz Maratonu i Salaminy, który zginął pod ciosem przez ptaka jowiszowego z oboków spuszczonego. Wiadomo że orzeł, chcąc rozbić żółwia, którego niósł w szponach, a wzięwszy łuski głowę tragika greckiego, siedzącego w zadumaniu, za skalę, spuścił na nią żółwia.

Może ta śmierć jest tylko wymysłem poetyckim Greków, ale chwala poecie, którego skon cały naród w ten sposób uwiecznia; bo o tę skalę nietylko zawisł współzawodnik, ale i niewdzięczność ziomków odbijała się bezskutecznie. Eschiles był jednym z tych niespożytych bohaterów, których olbrzymie postacie kreślił on w utworach swoich.

Z licznych jego tragedji, siedm tylko pozostało, a i te resztki dzieł olbrzymich są jeszcze prawie u nas nieznanne.

Wdzięk Teokryta, o którym zaledwie ze słyszenia, albo z niedokładnych naśladowań wiemy, przyswojony polskiemu językowi, stanie się prawdziwym skarbem dla tych, którzy pragną się kształcić na wielkich wzorach.

Mamy przed sobą tom pierwszy dzieła pod tytułem *Fantazyjne objawy zmysłowe* przez doktora Szokalskiego. Tom ten obejmuje w sobie: *Sny, widma i przywidzenia*. Doktor Szokalski zebrał tu z różnych źródeł mnóstwo bardzo zajmujących przykładów, które wszystkie prawie podzieliwszy na kategorie, tłumaczy z fizyologicznego stanowiska. Nie jest to jednak suchy wykład naukowy, któryby mógł odstraszyć zwykłych czytelników; owszem, dzieło p. Szokalskiego pisane zajmująco, w sposób bardzo przystępny, obejmuje mnóstwo szczegółów i opowiadań, z pomiędzy których wiele nienanych dotąd, a przynajmniej pierwszy raz się pojawiających w naszym języku. Nie bę-

dziemy tu wdawali się w sąd o sposobie zapatrywania się autora na te wszystkie zjawiska, jest to bowiem rzeczą krytyki specjalnej. Zwracamy tylko uwagę czytelników na to dzieło, które jest prawdziwie *rara avis* w piśmiennictwie naszym; mistycyzm bowiem, liczący pomiędzy piszącymi tyłu zwolenników w Niemczech, Francji, Anglii, a mianowicie w Ameryce, u nas nie znalazł jeszcze żadnego specjalnego sprawozdawcy. Mnóstwo książek niemieckich i francuzkich traktujących o tych przedmiotach, przychodzi tutaj, i publiczność rozrywa je w jednej chwili, ale bez wyboru, bez wyrobienia sobie należytego zdania o autorze i o dziele. Samój pneumatologii p. de Meruille rozeszło się tutaj kilkaset egzemplarzy, a książki o magnetyzmie zwierzęcym, elektrobiologii i t. p. nigdy na półkach nie zależą. Dobrze więc że będziemy mieli dzieło autora rodaka, człowieka nauki, na którego zdaniu czytelnicy będą już mogli pewniejszy sąd oprzeć.

Carthago delenda est. Są rzeczy, które i u nas co chwila trzeba powtarzać, jak owo zakończenie mów Katona. Kilka razy już pytałimy się co się stało z funduszem zebrany tutaj, z *krajowych* pieniędzy, podczas uroczystości na cześć Szyllera obchodzonej. Dotychczas żadnej nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Zapewniano że pieniądze pozostaną w kraju, ale od roku przeszło już zupełnie o tym ucichło. Oświadczamy więc że za każdym razem i przy każdej sposobności będziemy przypominali o tym nagannym zatajeniu ogólnych funduszów i spodziewamy się że gazety tutejsze poprą nas w tej kwestyi.

GNIEZNO, GOPŁO I KRUSWICA.

PRZEZ

DEOTYME.

(Dokończenie.)

II.

GOPŁO I KRUSWICA.

Pożegnawszy Gniezno, pusciliśmy się ku brzegom Gopła, od którego nas jeszcze oddzielała około dziesięcio-milowa przestrzeń.

Nazwa Gopła jest jedną z owych nazw obrazowych, niby własnym życiem żyjących, których brzmienie rozbudza w nas cały szereg marzeń podobnych do czarodziejskiej baśni... Któż raz polska dusza, rozmyślając dzieje swojego narodu, nie bujała wyobraźnią nad owymi wodami, w których się odbiły pierwsze granitowe piętra gmachu naszej przeszłości? Któryż polski poeta nie zatęsknił do owego księcia laskich jezior i nie zapragnął stanąć na jego brzegach, aby w głębinie dojrzyć owe cudowne legendy, co się w nurtach goplanych pluskają jak wodne boginki, niewidzialne dla tłumu, lecz dające się wywoływać przez tych, którzy znają guslarstwo natchnienia?

Jeżeli pojdzimy za uczonemi badaniami Surowieckiego, możemy uwierzyć iż niegdys Gopło było przynajmniej dwa razy obszerniejsze niż teraz i tak otoczone mnóstwem ogromnych jezior, rzek dziś zaginionych i rozmaitych dróg wodnych, iż można było z Baltyku dopływać wielkimi statkami aż do stóp Kruświicy; wszystko przemawia za podobnym przypuszczeniem. Któż nie pamięta wymownego obrazu, w którym Szajnocha maluje niezmierną lesistość i wodność Wielkopolski za dni królowej Jadwigi? Te szerokie łany, co dzisiaj złocą się kłosem, wówczas były łożyskiem nieprzebranych bagnisk, jezior i trzęsawisk, połączonych płataniną wód bieżących; tam gdzie dziś oko buja w otwartym widnokręgu, szumiały puszce o bajecznej bujności, podsycanej nieustannie wilgocią owych rozlewów. Jeżeli tak było w czternastym wieku, jakże być musiało w pierwszych stuleciach ery chrześcijańskiej, jakżeż dopiero w stuleciach co ją poprzedziły?

Pomorsze, owa ziemia której sama nazwa świadczy iż się najpóźniej otrząsnęła z najazdów bursztynowego zaborecy, długo nie przedstawiała postaci lądu, lecz sieć wysep i grobli, sieć tak daleko sięgającą, iż Gopło nie było wówczas jeziorem, ale raczej wielką zatoką morza. Przed trzema laty, przy oczyszczeniu koryta Noteci, które spowodowało lekkie opadnięcie Gopła, ukazał się około ujścia tej rzeki, zatopiony od wieków w jeziorze, wielki starożytny statek, ziarnem naładowany; postać miał tak dziwną, iż długo nie można było odgadnąć do jakiej epoki i do jakiego ludu mógł należeć. Nakoniec z kształtu nawy i znaków na niej znalezionych, domysłono się iż to mógł być okręt fenicki.

Nauki i wyobraźni, wielkie wiosłarki życia! Wsiądźcie na ten okręt; jakaż was czeka czarowna żegluga!

Możecie bujać po całych morzach poszukiwań i marzeń, możecie odkrywać całą Atlantydę zaginionej poezji!

Dziś jeszcze Gopło jest oplecione nieprzeliczonemi zbiorowiskami wody; szereg jezior gosławskich, ślesiańskich i wielu innych, rozpryska się z niego jak światłość z komety; w wielu nawet miejscach człowiek nie jest pewny gruntu po którym stąpa. Przed dwoma laty rolnik, orząc w okolicach Gopła, znalazł wśród pracy niespodzianą przeszkodę; w roli się otworzyła wązka szczelina, w której pług uwiązł; rolnik z trudem go wydobywszy, spostrzegł z podziwem iż z pluga woda się sączy. Od tej chwili szczelina zaczęła się rozszerzać, ziemia dookoła pęka i zapada się, i dziś już jest jezioro codziennie szersze i głębsze; zdaje się że tylko cienka błona ziemi wisiła na tej zdradzieckiej głębinie. Inne znów jeziora z wolna nika i gdzie przepadają. Wszystkie te zjawiska ukazują się tylko przy południowej części Gopła; częśc ta przywabiła nas kilku wspomnieniami, które wszystkie stosują się do Piasta i epoki jego.

Najpierw pojechaliśmy do *Warzymowa*, wioski w której, jak lud twierdzi, Piast miał się urodzić. Istniał tu niegdys zamek, z którego pozostała ciężka, uroczysta baszta. Wioska leży nad Gopłem, dość w tym miejscu wązkim; dziwnym, najpoetyczniejszym zbiegiem okoliczności, na przeciwległym brzegu, około przepływu Noteci przez Gopło, leży wioska *Noć*, która według podania miała być miejscem urodzenia Rzepichy. I tak dwie kolebki dwojga czechonych małżonków spoglądają na siebie lśnięciami okienkami swych chatek, i tylko Gopło je rozdziela, a raczej wiąże łańcuchem nurtów czystych i silnych, jak miłość w sercu wieśniaczem.

Z Warzymowa udaliśmy się do *Łuszczewa*, gdzie dwór bielejący nad jeziorem przywoływał nas, gościnne otworzywszy wrota.

W Łuszczewie znalezione przed kilku laty jeden z najpiękniejszych grobowców jakie nam era pogańska zostawiła; był to niby sarkofag z czerwonego kamienia, na którego wierzchnim gładzie ujrano rzeźbę wyobrażającą sokoła. W sarkofagu spoczywały trzy różnokształtne urny, pełne popiołów i ówczesnych kosztowności. Cała Wielkopolska obsiana jest szeregami przedchrześcijańskich mogił; lud zachował im tu ich pogańską nazwę *żałów*. Zbiorowisko takich żałów, czyli cmentarz, nazywa *żałnikiem*; któż potrafi stworzyć wymowniejszą nazwę?

Ale nas tu przyciągał przedmiot jeszcze ważniejszy niż grobowce, w których nie wiemy kto spoczywa. Do gruntów Łuszczewa należy kępa zwana *Sięganowem* na niej Piast miał swoje sławną pasiekę.

Szumnie dębami zarosła, wązka i długa jak leśniczka kępa sięganowska, wkrawa się w Gopło, niby w skibę brylantami zapruszoną. Ledwie wstąpiłam na ten szacowny odłam ziemi, ogarnęło mię pragnienie samotności; odłączywszy się od rozmownego towarzystwa, sama dookoła obeszlłam kępę, i co chwila stawałam, aby myśl moja jak pszczoła mogła z każdego Krajobrazu, z każdego listka i pyłka ziemi, wysysać miód wrażeń, miód o woni ostrzej, jak dziko rosnące zioła, miód o sile rzeźwiącej, jak dzieje żelaznego pokolenia władców, co się w Piastowej wychowało barci.

Ale czas już opuścić południową część Gopła. Jezioro to ku północnej stronie zważa się w rodzaj przyrodzonego kanału, zwanego Montwami, a nakoniec rozlane w szeroką, okrągłą przestrzeń, tworzy tak zwane *Małe-Gopło*. Na samym krańcu Małego Gopła leży *Szarleja*, miejsce kilkokrotnie w dziejach wspomiane. Wiesz głosi iż przed wiekami jakiś możny pan na Szarleju był jednym z owych dwunastu wojewodów, których burzliwe koleje wiążą postacie Lecha i Krakusa.

Kształtny i wypieszczony domek dzisiejszych dziedziów Szarleja wznosi się w ogrodzie, którego kwieciste trawniki zbiegają prosto do Gopła. Pomimo iż Kruświca jest o dwie mile oddalona, wieża jej już ztąd się rysuje na widnokręgu, jak gdyby ciemna igielka.

Postanowiliśmy wodną drogą puscć się do Kruświicy; już też oczekiwała łódz kobiercami i zielenią wysłana, a mocna, jak przystało dla tak hardy żegluga.

Ledwieśmy wypłynęli, zatrzymujemy się pod wyspą, na której niegdys stał zamek szarlejski; dziś pozostał tylko wysoki szaniec, który jak pierścień obciska wyspę i tworzy na niej wielką wklęsłość, w pół zasypaną gruzami dawnych murów. Wodna ta warownia zasłynęła w dziejach walecznością, z jaką się w niej bronili Władysław Biały, jedna z najdziesiętniejszych postaci starożytnych; kolejno namiętny małżonek, surowy asceta, gorączkowy rycerz, równą gwałtowność rozwijał, czy gonil za sercem, czy za palmą, czy za koroną; prawdziwy syn średnich wieków.

Obszedłszy wały i narwawszy z nich kwiecica, wróciliśmy do łodzi, która nas dalej uniosła. Brzegi Gopła są ogołocone z lasów i po większej części rozbiegają się w niezmiernie płaszczyny; ale natomiast szereg białych wiosek przegładają się w jego zwierciadłach i nadobne pałacyki wystrzelają z gęstych ogrodów. W koło tych wiosek ciemnieją lany sławnego kujawskiego czarnoziemiu, co choć wygląda posepnie, jakby tartym hebanem posypyany, wesóły jest dla oka, które w nim odgaduje kiełkowanie złotego żniwa.

Woda w *Mniejszych Gopla*, blade turkusowa, lekkimi bałwankami oszérbrzona, pomnaża się niezrachowaną liczbą strumieni, co użyźniwszy rolę i uspiwniwszy łąki, jak promienie do osi, zbiegają się ze wszech stron do jeziora, gdzie spadają z owym brzmieniem lubem, podobnym do gaworzenia, właściwem tylko dzieciątkom i strumieniom.

Półgodzinna żegluga doprowadziła nas do końca Małego Gopła i wpływamy w *Montwy*. Niezapomniana chwilo!

Montwy są zarosłe trzcina bujną jak las młodociany; ścieżki dla łódek w niej wycięte, kręcą się jak płaz pierścienisty, zagłębiają się jak odarniowany wawóz. Trzcina jest wszędzie tak gęsta a równa i wysoka, iż podróżnik siedzący w łódce nic nie widzi, tylko po bokach te dwie ściany seledynowe, a pod sobą wąską taśmę wody, a nad sobą wąską taśmę nieba. Wkrótce i owa wstęga fal niśnie; okrągłe wodne liście, smętne wodne lilie, zwikłane pływające trawy, nąsuwają się coraz gęściej, gęściej, nakoniec tak gęsto, że wody nie widać; wioślo podrzuca tylko pęki białych, pomarszczonych listków, a wiosłarzowi się zdaje, że stoi z kosą na łące. A trzciny tymczasem gwarzą, i chcą lepiej dosłyszeć wzajemne szeptania, pochylają ku sobie kolumnową kibić; pod każdym silniejszym powiewem, wszystko się klania Gopłu, niby sztandary wodzowi, wszystko pachnie tą wonią czerstwą i gorzkawą, co jest tylko wodnej roślinności właściwa.

Gęstwina trzcin otula całe narody skrzydlate; za każdym pluśnięciem wiosła, spłoszone wodne ptastwo fruwa w koło czółna różnorytmicznym lotem.

Zielone mury coraz szérzej się rozstępują, liście wodne rzadnieją, widnokrąg rośnie, i wypływamy na pełne morze. Pióro się omyliło w wyrazie, ale wyrazu nie cofam, bo trudno o widok coby wyższym złudzeniem przypominał morze, jak widok *Wielkiego Gopła*, zwłaszcza w czas burzliwy, a taki właśnie teraz nastał. Długo otuleni ciszą Montew, nie zważaliśmy że tymczasem zerwał się wichur ostry, rozszalały, prawdziwy jesienny wichur; powietrze napelił skarżącym się hukiem, na niebo czyste niedawno, napędził tłumy chmur grubych, których odbicie nadało falom szarość oceanową, poprzeryzaną tylko pręgami ciemnej zieleni, farby właściwej głębokim nurtom Wielkiego Gopła. Wichrem rozkołysana woda spiętrzyła się w tak wysokie wzdęcia, że bałwany przeskakiwały przez naszą łódkę jak arkady stalowe; powstał szum zmieszany jakby bitwą; mnie się zdawało że niekiedy słyszę w nim echo owych trąb dziwnych, które Chrobry kazał powrzucać do Gopła, trąb z taką sztuką zbudowanych, że woda w nie się zataczając, wydawała niepojęte głosy.

Zerwał się wszyscy, uniesieni uniesieniem żywiołów; chórem śpiewając, wiosła w kolej chwytając, walczyliśmy z oporem fali. Byłabym tak płynęła przez dzień, przez dni całe, pędzona burzą wody i burzą poezji, i prawdziwy żal mię ścisnął, gdy łódź się zatrzymała pod brzegiem kruswickim.

Żal wkrótce pierzchnął, zaemiony pięknością krajobrazu. Położenie Kruswicy szczęśliwie obrane; wybrzeża Gopła tu się kształtują z niezwykłą sobie fantazją; po lewicy naszej, na brzegu wysokim i stromo ściętym, stała sędziwa katedra; po prawicy na przeciwnym brzegu leżało miasto, a za niemi na wzgórzystym półwyspie *Mysza wieża*, wysoka, potężna, jakby czerwona skała z wód wystrzelająca.

Spadzista ścieżka doprowadziła nas do kościoła, jednego z najstarszych w Polsce. Przyjrawszy się szanownym murom, przeszliśmy most drewniany łączący

cy dwa brzegi i wstąpili w tak nazwane miasto. Głębokim bólem przenika na widok upadku do jakiego się pochylała stolica Popielów; każda zamożniejsza wioska okazała od niej wyglądu; zaledwie trzydzieści domostw zdołanoby w Kruswicy naliczyć, a większa ich część nie może się nawet nazwać chaty pochłubić; są to lepianki, wszystkie prawie przez rybaków zamieszkałe. I tu jednak nie brakło poetycznych powabów; od poddasza lepianek rzucone były, niby namioty, suszące się ogromne sieci, białe i lekkie jak obłok, drugim brzegiem przymocowane do ziemi o kilka łokci od domu; ażeby dojść do wieży, musieliśmy przechodzić pod tym rybackim szpalerem; nad skronią naszą szleszcząc, sieci migotały kroplami, a stopy nasze brodziły w szumiącej zieleninie warzyw.

Nad drzwiami gospody ujrzelismy niebieską tablicę, a na niej napis: *Pod Piastem*. Z okienka innej chałupki dolatywały miłe dźwięki; jasnowłose pachole na

pniesz, iż w dół się przedłuża lochem, w którym oko nic nie może rozoznać. Mówiono mi iż wieża jest równie głęboka w ziemi, jak wysoka nad ziemią. Niema żadnych wschodów ponad tą otchłanią, tylko w pewnych odstępach węzowym spłotem ze ścian się wysuwają wązkie zęby muru, podobne do stopni piramid, stopni po których jedynie olbrzym mogły chodzić.

Trudno o krajobraz wspanialszy nad ten, jakiemu panuje podróżnik stojący pod Popielową wieżą; ogrom wód, urwistość brzegów, bujność roślinności, napelniają powietrze szumem i balsamem; a wszystko to jeszcze co chwila piękniało pod wstającym z pogodą igraniem kolorów. Wiatr się pod wieczór uciszył, szare chmury pierzchły, a fale wnet wróciły do barw sobie zwykłych; szmaragdowe w swych zakłesościach, szafirowe na skrajach bałwanów, mieniły się jak tło w pawim piórze. Słońce zachodzące połową tarczy spłynęło do Gopła; wówczas całe niebo i całe jezioro popekały się w pasma pomarańczy, karmazynu i fioleto, a w tym radosnym pożarze, ciemno-czerwona, ponura Mysza wieża, sterczała jak płomienna spiczastość pogrzebnego stosu.

Wzrok mój się rozweselił, gdy go niżej zwróciłam; niedaleko od brzegu wabiła moją uwagę różnolistnym gajem zarosła, cudna wysepka, w koło której pływało kilka łabędzi; z wysoka widziana, przedstawiała kształt podobny do kształtu serca. O lube zdumienie, gdy przewodnik, zapytany: „Co to za wyspa?“ odpowiedział: „To ogród *Rzepichy*.“ Więc lud tu jeszcze pamięta swoje wieśniaczkę-królowę!

Imię jej rozpędziło we mnie czarne myśli, jakimi widok Myszej wieży przejmuję, i uprzytomniło drugą, jasnieszszą połowę kruswickich pamiętek.

Kruswica zaledwie przez lat kilkanaście była stolicą narodową; przecież w tym blasku tak przelotnym, widziała dwa może najuroczystsze dramata naszych dziejów: upadek rodu Popielów i wzniesienie się rodu Piastów; pierwszy obraz godzieli Sofoklesa, drugi godzieli Homera.

CZĘSTOCHOWA.

KLASZTOR I KOŚCIÓŁ NA JASNEJ-GÓRZE.

(Dokończenie.)

Następca Jana Kazimierza, król Michał Korybut Wiszniowiecki, po koronacji swój przybył w dniu 7 grudnia 1669 r. do Częstochowy i w cztero-dniowym nabożeństwie błagał królowej Polski Bogarodzicy o opiekę i pomoc, bogate składając wota. Tu następnie odbył się obrzęd ślubny tego monarchy z arcyksiężniczką Eleonorą austryacką. We trzy lata żałoba ciężka okryła Jasną-Górę i całe zgromadzenie paulinów. Ostatnich dni marca 1673 roku zakończył życie przeor sławny i bohater, Augustyn Kordecki. W tych murach, które od szturmów szwedzkich tak dzielnie bronił, prochy jego pogrzebane zostały, a wizerunek w całej postaci, zawieszono na ścianie klasztornej.

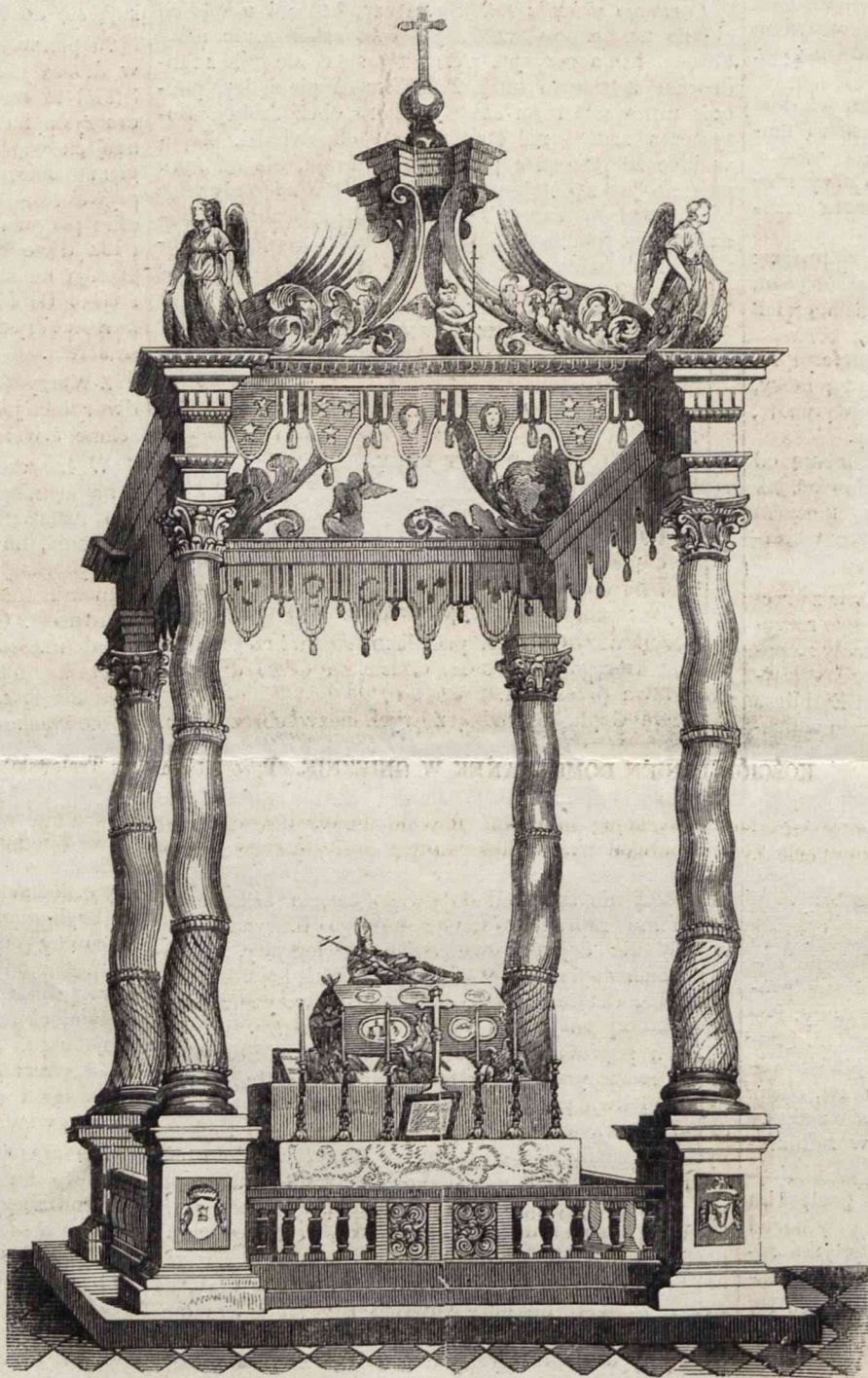
Za czasów Jana Sobieskiego, wznowiono mury i wzniesiono nowe bastiony. Pogromca Turków, oswobodziciel Wiednia, składał modły swoje i wota

przed obrazem cudownym Bogarodzicy

Kiedy wszedł do Polski zwycięzkiem pochodem Karol XII król szwedzki, silnie oddziały jego kusły się po dwakroć nadaremnie o opanowanie warownej Częstochowy. Duch Kordeckiego nie przygasał w czcigodnym zgromadzeniu, a gotowość obrony ocaliła klasztor jasnogórski od złupienia.

Do roku 1813 Jasna-Góra zachowała postać fortecy; w tym jednak roku mury w znacznej części rozebrane zostały, a wały skopane i zrównane z ziemią.

W skarbcu klasztornym bogate wota ściągają na siebie oczy pobożnych pielgrzymów. Oprócz nich piękne i liczne zabytki starożytności zawiera on w sobie. Do takich należą: sztandar dwubunczyczny tureckiego baszy, zabitego w napadzie hussarzy polskich na pułki spahów pod murami Wiednia. Krzesło, misternie kością słoniową wysadzane, w siedzeniu i oparciu wyplatane, z poręczami, pochodzące



POMNIK Św. WOJCIECHA W KATEDRZE GNIEZNIENSKIEJ PRZED ROKIEM 1840.
(Rysował Podbielski.)

skrzypkach wygrywało jakiegoś polonezika, którego nuta przesliczna a zupełnie nam nieznaną, jakby marsz nas powiodła w pochodzie ku wieży.

Coraz nikłej giną dźwięki smyczka, coraz bliżej grzmia fale z trzech stron bijące o wieżowy przyladek; jest on wyniosły, zasypany rumowiskami zamku, co niegdyś łączył się z wieżą, a wśród tych rumowisk, między płataniną traw i zarośli, rośnie w niezliczonej mnogości gorąco-zółta tojeść, niby szczytki owego złota, jakie Popiel wydarł z rąk swojego ludu, a które bogowie pod postacią kwiatów zwolna oddają ludowi. Po tojeściach, darniach i gruzach wspiąwszy się na wzgórze, stanęłam pod wieżą, której wielkość zbliżka ujrzana przytłacza; wysoka na siedm albo ośm piątr, zmurowana z cegły tak stwardniałej, jakby opoka, ma ona kształt osmiokątny. Wnętrze jej przeraża; wszystkie przedziały piąter poopadały, została tylko niby pusta, okropna studnia, tém okro-

według klasztornej podania) od Kazmirza Wielkiego. Miecz Stefana Batorego, ostry, prosty, krótki, z rękojeścią turkusami wysadzana, bez pochwy. Pochwa złocista, turkusami okryta, od szabli Jana III, z rękojeścią bez brzoźca. Buławy hetmańskie, jak Stanisława Potockiego *Rewerą* zwanego, Marcina Kazanowskiego i Stanisława Jabłonowskiego, wiernego przyjaciela i towarzysza wypraw Jana Sobieskiego. Buława pstro złożona, w jaszczur bez kamieni oprawna, własność Cieciry, nakaznego atamana Kozaków, który pierwszymi krokami Jerzego Chmielnickiego kierując, zwyciężony przez Lubomirskiego pod Słobodyszczem dnia 18 września 1660 r., smutnie swój zawód zakończył. Oprócz dawnych czekanów, lasek urzędowych i ryngrafów, uderza swoją prostotą kij pielgrzymi Mikołaja Radziwiłła, zwanego *Sierotką*, którym podpięrał się wędrując do Jeruzolimy, ażeby na miejscach uświęconych pobylem, krwią i męczeństwem Chrystusa Pana, złożyć pobożne modły i kornym uderzyć czołem.

Słynie nadto skarbiec tutejszy z sukienek Matki Boskiej, dyamentami, rubinami i perłami wyszywanych, oraz z kap i ornatów bogatych, pomiędzy którymi ornat królowej Jadwigi z lamy złoty, perłami szty. Wymienić jeszcze należy zbiór starodawnych różańców, monstrancji, lamp, kielichów i wiele innych drogocennych pamiątek, które szczegółowo opisał Michał Baliński w dziele p. t. *Pielgrzymka do Jasnej-Góry w Częstochowie*. (Warszawa 1846.)

Obecnie Jasna - Góra, przestawszy być fortecą, przypomina ją tylko resztami murów zachowanych i bram warownych. Na ganku tej samej wieży codziennie, jak niegdyś w czasie szturmów szwedzkich, brzmi rano i wieczorem kapela klasztorna pieśniami na cześć Boga-rodzicy, a tłumy pobożnych pielgrzymów z gorącym uczuciem wtórują tym świętym hymnom.

O małą milkę od klasztoru, na górze, sterczą ruiny silnego niegdyś zamku Olsztyna, którego pamięć uwiecznił poświęceniem swoim Kacper Karliński, w czasach panowania Zygmunta trzeciego.

K. Wł. W.

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

MUZYKA.

Niektóre wspomnienia o teatrze.

Widne są już oznaki krzątanja się około spraw naszych muzycznych. Moniuszko, wezwany przez Towarzystwo Dobroczynności, organizuje dwa koncerty religijnej treści, mające się wykonać zbiorową siłą artystów i amatorów w ewangelickim kościele; — Kątski w Instytucie Muzycznym przygotowuje uczniów tego zakładu do półrocznego popisu; a i w teatrze odbywają się próby dwóch oper oryginalnych, którymi teatralniejsza dyrekcja pragnęłaby się słuchaczom przysłużyć.

Zaprowadzenie radykalnych reform

na naszej scenie jest konieczne, wszyscy najmocniej czują tego potrzebę; zachodzi tylko pytanie, jak do nich przystąpić, od czego zacząć? Już to balet, który

dniejszych, właściwszych swemu u nas przeznaczeniu, a wtedy dopiero dramat, jako i opera, będą mogły zająć należne i konieczne stanowisko, jakie tym dwóm rodzajom sztuki przystoi. Do dramatu i tragedji siły miejscowe są mniej więcej wystarczające; założenie na szerokich podstawach dobrej szkoły dramatycznej, w niedługim czasie zaradziłoby chwilowemu, szczególnie co do indywidualności płci żeńskiej, niedostatkowi; ale opera wymaga niemałej i wszechstronnej troskliwości dyrekcji. Nie będziemy się na teraz rozводить szczegółowo nad ujemnymi przymiotami całego składu naszej opery; bez wątpienia zwrócono już na takowe uwagę, i pomału, o ile środki dozwolą, im się zaradzi; lecz jeżeli do przyszłego repertoaru mają wejść poważne i wielkie opery, jeżeli godnie i przyzwoicie mają się przedstawiać, to liczbę śpiewaczek mianowicie, koniecznie trzeba powiększyć. Od czasu jak panna Rivoli śpiewać przestała, opery największy i najpewniejszy dochód teatrowi przynoszące, potrzeba było usunąć z repertoaru, nikt bowiem utalentowanej tej artystki zastąpić nie może. Gdyby zaś taki stan rzeczy potrwał dłużej, gdyby panna Rivoli nie miała już nigdy w *Zydówce*, *Hugenotach*, *Halce* i innych tego rodzaju operach występować, to ani panna Dowiakowska, ani pani Gruszczyńska próżni tej nie zapelnia. Natura ich głosu, tudzież artystyczne przymioty jakie posiadają, czynią te artystki użytecznymi w pewnych mniejszego znaczenia rolach; ale do innych, wyższego dramatycznego nastroju, gdzie potęga głosu nierozdzielnie iść musi w parze z wzniosłą i nakazującą akcją, gdzie siła deklamacji potrzeba zapanować nad materialnymi zasobami sztuki, wzruszyć słuchaczy do głębi duszy prawdą i mocą wrzącego w łonie własnym uczucia, tam innego zupełnie potrzeba materiału, innej indywidualności nad tę, jaką artystki wymienione posiadają.

Pisma nasze peryodyczne niejednokrotnie wspominały o nadzwyczajnych powodzeniach w Wiedniu, Węgrzech i Włoszech panny Leśniewskiej; bez wątpienia artystka ta przeszła już zenit swego świetnego i błyszczącego zawodu; lecz jeżeli nawet jest przy schyłku takowego, jeszcze dla naszej sceny ogromne oddać może przysługi. Dwie siostry Mikorskie, obecnie z powodzeniem we Włoszech występujące, przed niedawnym czasem odzywały się do poprzedniej dyrekcji z chęcią przybycia do Warszawy i ukazania się na scenie narodowej. Nie chciano korzystać wówczas z ich talentów, również jak z zamiaru pozostać między swoimi panien Płodowskiej i Zawiszanki. Szczególniej p. Zawiszanka, obdarzona od natury głosem pięknym kontraltowym, pełna zapалу dla sztuki, której z całą duszą poświęcić się pragnęła, mogła świetnej doczekać się na scenie ojczyzny przyszłości. Niechętnie lub nie-



KOŚCIÓŁ PANIEN DOMINIKANEK W GNIEZNIE. (Rysował z natury Trelewski).



MYSZA WIEŻA NAD JEZIOREM GOPLEM. (Rysował Podbielski, podług litografii Dekera).

zręczne postępowanie ludzi nieżyczących, jak się zdaje, powodzenia operze naszej, zraziło te artystki tak dalece, iż zmuszone szukać przyjaźniejszego pomiędzy obcymi przyjaciółmi, dzisiaj po większej części są już dla nas straconemi.

Śpiewaków dobrych nie można mieć zawsze na zawołanie; zbyt wiele po nich dzisiaj wymagamy, ażeby łatwo się wyrobić mogli. Dawniej kto miał głos i jaką taką powierzchowność, mniejsza że nut nawet nie znał, bo wyuczysz się przy skrzypcach roli na pamięć, już śmiało występował w operach. Dzisiaj żądamy najprzód głosu pięknego; żądamy ażeby był należycie na dobrej metodzie wyrobionym; żądamy następnie pokaznej powierzchowności, akcyi, gry i wielu jeszcze innych rozmaitych przymiotów. W tym względzie wymagania nasze są większe i surowsze, aniżeli na którejkolwiek zagranicznej scenie, chociaż stosunkowo mniej artystów swojskich cenimy. Niechby na przykład znana ze swój otyłości pani Alboni, poważyła się u nas wystąpić jako Rozyna w *Cyruliku Sewilskim*, ręczę żeby ją srodze wysmiano; a przecież sławnej tej śpiewaczce na parzykłej albo londyńskiej scenie nic to nie szkodzi; publiczność, mająca prawo wymagać wszystkiego od artystów, bo ich na wagę złota opłaca, słucha jej z powagą, rokoszą i szacunkiem, na jaki jej wielki wokalny talent zasługuje.

Mogliśmy się tu jeszcze upomnieć o artystę niezmiernie użytecznego dla sceny naszej, gdyż każdy w świeżej ma jeszcze pamięci jego wystąpienia w roli mandaryna w *Koniu Szpizowym*, Dulkamary w *Napoleju Miłosnym*, Dziemby w *Halce*, że o innych nie wspomnimy wcale. A jednakże, pomimo pięknego i wyrobionego w dobrej szkole głosu, pomimo szczerzej jego chęci pracowania dla sceny rodzinnej, pomimo scenicznej wprawy, czyniącej go zdolnym do występowań w teatrze Rozmaitości nawet, pomimo koniecznej potrzeby zachowania go szczególnie do ról kontuszowych, w których był wyborynym, musiał opuścić Warszawę i szukać na prowincyi kawałka chleba, którego mu tutaj poskąpiono!

M. K.

STARA PANNA,

(KARTKA Z ŻYCIA IMÓ PANIA FULGENTEGO.)

WYDAŁ

Zbigniew.

(Ciąg dalszy.)

Panna Magdalena znowu spojrzała na mnie, ale już ani śladu obrzydzenia czy złości nie było w jej spojrzeniu; przeciwnie, jakaś dziwna dobroć i pobłażanie rozlały się po jej twarzy. To mnie bardziej drażniło, jak najdotkliwsze alluzje.

— Nie cierpię jezuityzmu! powtórzyłem jeszcze raz, siląc się koniecznie zniecierpliwic ją.

Długo milczała, nakoniec przemówiła głosem czystym, spokojnym, jak człowiek co odpowiada swojemu sumieniu, nie ludzom:

— Zapewne, iż wszystko co jest udanem, nosi cechę obłudy, a obłuda, to gangrena zarażająca krew społeczności. Człowiek przeto obłudny jest śmiertelnie chory i potrzebuje straszliwej operacyi, żeby mu wróciła zdrowa krew i nowe życie. Ale obłuda jest dwójaka: ci, co nie mają cnoty prawdziwej, udają że są cnotliwi, i tych to pan nazywasz „świętoszkami“ (mówiła z lekkim uśmiechem). Oni są zarażeni gangreną obłudy, ale rozumieją jaki powinien być normalny stan zdrowia duszy, bo przez samo swe udawanie oddają hold cnotce, jakby się wstydzili że jej nie posiadają. Przeciwnie, drugi rodzaj obłudników jest jeszcze niebezpieczniejszy, bo zarazę swoją starają się wszczepić w zdrową krew i zdrowego ducha brata swego.

Widziałam ludzi (mówiła z pewnym smutkiem), których serce zdolne było jeszcze uderzyć dla cnoty, w których piersiach nie wytlął jeszcze całkiem ogień wiary i miłości... a przecież oni to serce trzymali w kleszczach sobkostwa i nie pozwalali mu praw żadnych, ten ogień zasypywali popiołem cynizmu, by się przed ludźmi pochwalić że „nie są cnotliwi.“ Czyż to nie okropna choroba... nad którą się litować nigdy nadto nie można?...

— A więc zło, w jakiejby ono nie było postaci, równą litość wywołuje w sercu pani, jak dobro nieocenione, piękno zapoznane i cnota pokrzywdzona? Czyż to sprawiedliwe uczucie litości?...

— Bo tylko zło, jako ujemna siła, litości potrzebuje; dobro, piękno i cnota są siłami tak dodatniemi, że dla nich ani poklask świata, ani zapoznanie nie stanowią, bo wystarczają same sobie do uszczęśliwienia.

Przecież wszystko co jest w naturze, być musi i być powinno. „Alles was ist, ist vernünftig,“ powiedział niemiecki filozof, i zdaje mi się że prawdę powiedział. Bo jakżeby zło istnieć mogło, gdyby nie było wyższej woli? Nie wchodzi w roztrząsanie, czy ono jest jako ofiara zemsty Bożej za zuchwałość i pychę aniołów, których zamienił w szatanów, czy jako czynnik potrzebny do równowagi świata... nie wchodzi, nie abstrakcyonuje, bo wiem że niczego nie dojdę; wierzę tylko i uznaję, że zło było od początku świata, i musi być do końca jego, jako konieczność.

Tak, zło jest faktem, jest siłą potężną i samodzielną, mówiła smutnie schyliwszy głowę kobieta, jest z rozkazu Bożego, bo duch pychy je wywołał. Anioł chciał być równy Twórcy swemu, wielki jak On, potężny jak On i mądry jak On! I podniósł myśl zuchwałą usamowolnienia się. Ta pycha i niewdzięczność obraziła Twórcę: pozwolił mu być samowolnym, ale odebrał „miłość.“... Wówczas szatan, nie mając czem zapełnić tej próżni ducha, stworzył sam nowe uczucie „nienawiści,“ i owóż te dwie potężne, samodzielne siły miłości i nienawiści scierają się z sobą, walczą przez tyle wieków... Pokonaną dopiero wtedy jedna z nich będzie, gdy człowiek zrozumie lzy z Golgoty i wyciągnięte z krzyża ramiono Boga-człowieka.

— Ale wracając do naszego założenia, rzekłem poruszony silnie słowami panny Magdaleny, jeśli człowiekowi oprócz tego są jeszcze dane dwie siły, rozum i wola, to może uczynić wybór między złem i dobrem, a skoro uczyni, już nie jest panem wypadku, bo reakcja sama z akcyi wypływa. Zkądże, proszę, taki żal panią ogarnia na widok złego człowieka, kiedy on sam dobrowolnie wybrał to, co mu się zdało potrzebem?... Jabyś sądził że żałować można tylko tych, co bezświadomie pchnięci na drogę występku, stali się ofiarami przemocy.

— Ja nie znam ofiary godniejszej łez i żalu, jak ten, co w zatwardziałości grzechu, wypełnił wszystkie uczucia dobra i miłości. Wewnętrzności jego szarpie jad nienawiści, gorączka zemsty, jak ogień piekielny trawi moralną istotę... świat cały osnuty dla niego czarnym całunem nicości grobowej, bo nigdzie głowy złóżyć nie może, nigdzie odetchnąć, ani uciec od siebie... wszędzie to samo złowrogie widmo nicestwa!... Śmierci pragnie, ale się jej lęka, bo nie wierzy aby i w jej objęciach znalazł spokój.

Wyraz „nieśmiertelność,“ to słowo wielkie, przerażające dla jego ducha, budzi go ze snu, odrywa od orgij sprośnych, wypłasza z uścisku zmysłowej kochanki. Biada złej duszy! biada i litość nad nią!...

— I dlatego pani założyłaś dom ochrony dla biednych wyrzutków społeczeństwa? rzekłem z głębokim uczuciem nieznanego mi oddawna uwielbienia i czci, dlatego pani podnosisz je z błota i obmywasz w moralnym zdroju pociech duchowych, a pracą fizyczną dajesz im środek do utrzymania życia?... O jakże silną musi być twoja miłość, kiedy nie lękaś się by te brudy, z których oczyszczasz drugich, zawiść nie zlała na twą głowę!...

— A choćby i tak... odrzekła z anielską prostotą Magdalena, gdyby zła wola i głupstwo starły się ze wszystkich ścieżek pokątnych oszczerstwa zlać na mnie ten kał potwarzy, to i cóż ztąd? czyż przestanę być szczęśliwą, kiedy jestem w zgodzie z sumieniem i Bogiem?...

Wierzą mi pan, mówiła jakby w natchnieniu, człowiek pokutuje życiem za życie, i póty w nim rośnie pamięć występku, póki nie zagasnie iskra żywota! Ale ten co nie ma występku na duszy, jest szczęśliwy i spokojny.

— Ach! prawda... zawolałem z entuzjazmem, jakby poruszony iskrą elektryczną religijnego uczucia, a przelękniony się i zawstydzony sam swego wykrzyknika, spuściłem głowę na piersi, i dwie lzy duże potoczyły się po mej twarzy.

Ach! po latach tyłu... pierwsze lzy nad sobą!...

Wróciwszy do domu, długo w noc rozbieierałem słowa Magdaleny, a każde, jak silne uderzenie, odbiło się w spróchniałych piersiach moich; bo ze słowem w świecie ducha, jest jak z ciałem w świecie materji: nie-tyle-ciężkość, jak wysokość z której spada wywiera skutek.

Odtąd przemyślałem ciągle, jakby bliżej poznać Starą pannę, jej przeszłość, jej teraźniejszość i tę przyszłość, którą ona rozumiała, a która dla mnie była zagadką.

Jakim sposobem, z jakich źródeł dowiedziałem się historyi życia Magdaleny, sądzę że to dla czytelnika obojętne; dość że mam w posiadaniu szczegóły jej dzieciństwa i młodości, i wiernie podaję je czytelnikowi.

W odległym zakątku Białorusi był wielki dwór, otoczony rowami, bagnami i sosnowemi lasy. Miał on zewnętrznie podobieństwo do jakiegoś zamku feudalnego, były tam bowiem wieże ze strzelnicami i most zwodzony, opasany fosami i wałami.

Była to rezydencya O... niegdyś zamożnej szlachty herbu Gryff, a w owęj epoce, do której się ściągają niemiejsze opowiadanie, znacznie już podupadłej, wszakże zachowującej jeszcze cały splendor rodzinny.

W Murowanym-dworze (tak się zwał ów majątek) mieszkał jeden z braci Gryffów, szlachcic butny, hulawczy niegdyś, a dziś podagryczny, schorzał, z głową przypruszoną siwizną, ale dumnie zawsze wznoszącą się na przygarbionych barkach. Było ich dwóch braci: Adam i Antoni; Adam był właśnie dzieckiem Murowanego-dworu, Antoni zaś, lubiący niezależność i rozgłos, olśniony gwiazdą Napoleona, zaciągnął się do wielkiej armii bohatera. Po smutnym powrocie z Moskwy garstki „niezwycięzonych,“ długi czas myśłano że Antoni wraz z innymi poległ; po pewnym atoli czasie otrzymano list od niego ze Stanów Zjednoczonych, donoszący że jest jednym z partyzantów, co walczą tam w obronie wolności. Potem znowu ani słowa przez lat wiele.

W chwili rozpoczęcia naszej opowieści, pan Adam Gryff liczył już z górą lat sześćdziesiąt. Zona jego, z Habdanków, sławna niegdyś pięknosc, była już czterdziestoletnią kobietą, ale jeszcze dumniejszą i butniejszą od męża.

Owo więc państwo Gryffowie nie mieli syna, tylko trzy córki.

Najstarsza, Wanda, była niepospolitej urody, również i druga, Jądwiga, istny obraz matki; trzecia zaś, Magdalena, była najmniej piękną i w dodatku kulawą. Pani Gryffowa, wychowana na łonie arystokracji ówczesnej, nie pojmowała życia brzydki i ułomnej kobiety. W oczach matki było i grzech, i zawód okropny!... Jęj córka, jęj, którą świat kiedyś cały nazywał „Sylfidą,“ była brzydka i chroma! O! to nawet był zawód ze strony Boga!... do którego, gdyby mogła, miałyby pewno urażę.

Ztąd od pierwszych lat dzieciństwa Madzia była nielubianą od matki, co sprawiło że i siostry mało jej okazywały uczucia.

Ojciec jeden najwięcej miał dla niej miłości, ale ta miłość w swoich objawach była tak kapryśną, schorowaną, podagryczną, że większą obawę jak radość budziła w kilkoletniej dziewczynce.

Mimo to że pani Gryffowa nie lubiła całkiem najmłodszej córki, a nawet uważała ją za jakąś karę Bożą, czuła się jednak w obowiązku, jako matka, starać się zniwelować jęj nogi, a przez to zrobić jęj jakąkolwiek nadzieję zamążpójścia. „Bo gdybyż to jeszcze była milionowa panna, mawiała w tkliwem rozrzwinięciu do męża, to mogłaby liczyć że ją weźmie i tak; ale dziś, kiedy ledwie po sto tysięcy dać im możemy, w cóż się to obróci na świecie? Jedyna dla niej przyszłość, to klasztor.“

I byłaby niezawodnie zapobiegliwa matka jeszcze w dziesiątym roku życia oddała córkę na usługę Bożą (bo dla ludzkiej uważała ją za niezdatną), gdyby nie silny opór męża, który na żaden sposób nie zgadzał się z religijnemi zamiarami matki: był to bowiem Wolterysta i uważał klasztor za schronienie próżniactwa i głupoty. Jakoż dzięki tym zasadom ojca, Madzia uniknęła murów klasztornych.

Biedne dziecko, przywykłe od najpięrszych lat słyszeć że jest brzydka i kalęką, uważała się za istotę całkiem upośledzoną od natury i wstydziała się przed ludźmi swego kalęctwa, bo zawsze o niem słyszała jak o największej zbrodni. Kryła się więc, aby ta zbrodnia jęj dostrzeżoną nie była; ale niestety! z latami zdawała się coraz bardziej chromać, i już utaić tego nie można było. Ztąd różne, jak mówiłem, środki były przedsiębrane, dla doprowadzenia pod jedną miarę obu nóg; kilku doktorów nad tem studyowało, kilka aparatów do wyciągania stawów zostało sprowadzonych... Ale wszystko napróżno! noga uparła się być krótszą i nie jęj przekonać nie mogło; tyle tylko że Madzia straciła apetyt, rumieńce z twarzy i wyglądała jak męczennica po torturach. Oj, bo też torturowano biedną dziecinę: po kilka godzin miała przysrubowaną nóżkę do narządza dociągającego brakującej miary. Był to ból okropny: zielone, fioletowe plamy występowały na jęj twarzy, oczy mroczyły się łzami, ale skarżyć się nie można było, bo wszystko robiono dla jęj dobra, w widokach żeby dostała kiedyś męża!...

Powtarzała to matka, powtarzały siostry, i powtarzała kilkanaście razy na dzień guwernantka. Nieszczęśliwa Madzia na samo to słowo „mąż“ dostawała febrycznego drżenia. Ach, gdyby nie ten mąż, onaby nie była torturowana... wolnoby jęj było być kulawą, kiedy tak już Bóg przeznaczył... i nie miałyby potrzeby

bać się widoku ludzi... Owóż, gdy przypadkiem kto wymówił przy niej wyraz „mąż“, dziewczeczka jakby ujrzała marę piekielną przed sobą, wraz z całą machiną do wyciągania stawów.

Gdyby więc nawet nie inne wypadki życia, to dostatecznym już było dla Magdaleny aby pozostać na zawsze starą panną, wyhodowanie się w takim wstępie do wyrazu „mąż“.

Przekonawszy się z bolescią, że Madzia już na zawsze pozostanie kulawą, pani Gryffowa pocieszała się choć tęp, że jako matka nie sobie do wyrzucenia nie miała, wszystko robiła aby jej córka nie została „starą panną“, a że nie mogła temu zapobiedz, to już nie jej wola, tylko niebios, które same odpowiadać będą za siebie.

Madzia w siedemnastym roku, pomimo kalécwa i bladoci niezwyklej, jaka w skutek ciągłych cierpień oblekła jej młodocianą cerę, była nadzwyczaj zajmująca. Oczy jej, szczególnej piękności i słodyczy, zwracały powszechną uwagę; przytęp ruchy i cała postać, aczkolwiek nieśmiała i niepewne siebie, miały przecież taki urok niewinności, skromności i dziewięziej idealności, że nawet dla pospolitego oka była czémś wyjątkowém.

W tym czasie [najstarsza z sióstr, Wanda, wyszła zamąż bardzo świetnie. Ale niestety! dlaczegoż każda świetność, każde szczęście tak krótko-trwałe na ziemi? W rok po zamążpójściu umarła.

Matka z rozpaczcy o mało sama nie przyplaciła życiem.

Ten cios jednak jakoś dziwnie rozmięczył serce pani Gryffowej. Nieszczęścia, jak kwasy, wygryzają płamy z sereal... Pani Gryffowa po śmierci Wandy zaczęła więcej okazywać uczucia Magdaleni; nie razili jej już tak bardzo brzydota i kalécwo córki, nawet niekiedy znajdowała ją *nieszpetną*, a to wówczas szczególniej, gdy blady rumieniec, rzadki gość na licu dziewicy, ukazał się, wywołany radością z czulszego obejścia się matki.

Jadwiga rokiem tylko była starszą od Madzi. Było to sobie w gruncie niezłe stworzenie, wesołe, trzpiotliwe, lubiące zabawy i śmiechy, młodzież i stroje, a siebie nad to wszystko, a że przytęp była żywym portretem matki i dobry miała głos (co było słabością pani Gryffowej, bo sama kiedyś śpiewała i ksiądz Józef zachwycał się jej głosem), uważała przeto matka Jadwigę za arcydzieło, i była przekonana, że jeśli Wanda zrobiła tak świetną partya, to Jadwiga powinna się dostać przynajmniej jakiemu księciu, tęp bardziej że i posag nieboszczki siostry miał całkiem przejść na Jadwisie; Madzia zaś, jako kandydatka na starą pannę, aż nadto miała stu tysięcy.

A jeśli mówimy o talencie Jadwisi do muzyki, nie bądźmy niesprawiedliwymi, przemilczając że i Magdalena posiadała talent do rysunków; nie uczać się prawie, (bo tylko tyle co od guwernantki) zdejmowała widoki, krajobrazy, w warunkach estetycznego poczucia. Pani Gryffowa, jak wiemy, była próżna; cieszyło ją to, że w jej rodzinie wyradzają się talenta, a kto wie może i geniusze. Przecież i będąc kulawą, mówiła sobie z cicha, można być genialną... Ta myśl do tyła była miłą dla niej, że stała się jeszcze łaskawszą na Madzie... i postanowiła, bądź co bądź, rozwinąć talent, który z czasem mógł zostać geniuszem.

Długa była narada w sypialnym pokoju państwa Gryffów, po której matka objawiła córkę, że pojedzie z niemi na całą zimę do miasta W*** i tam jedna muzyki, druga malarstwa lekye brać będzie.

Jadwisia z radości skakała, klaskała w ręce, i rzuciwszy się matce na szyję, o mało jej nie przewróciła. Magdalena zaś tak się przelękała samą myślą, że na nią wszyscy patrzeć będą i szydzić z jej ulomności, (bo była pewną że każdy do tego ma prawo) iż rzewnemi zalawszy się łzami, stała jak martwa przy kominku.

— Co to jest Madziu, ty płaczesz? zapytała siostra, zdumiona łzami nie w porę.

— Ja się lękam jechać do miasta... odrzekła cichym, strwożonym głosem Magdalena.

— Cha! cha! cha! ona pewnie się lęka męża, zawołała śmiejąc się serdecznie siostra. Bądź spokojna, już ja ciebie wyręcę, kiedy tak się boisz.

I śmiała się, i ścisła siostrę, bo była secześliwą, że opuszcza to *opactwo ponure*, gdzie mieszkają same sowy i puszczki, jak mówiła.

— A ojciec czy sam zostanie? zapytała Magdalena, jakby chwytając się tego środka, by może ją przy nim zostawiono.

Ojciec będzie miał towarzystwo z doktora, z księdza, i pan rejent na kilka miesięcy zimowych ma znowu przyjechać; a więc nie będzie się nudził wcale. I tak mało z nami przebywa, tylko czytuje gazety, lub grywa w karty z doktorem i księdzem.

Tak mówiła pani Gryffowa.

Pan rejent zapowiedziany, był to rezydent gubernialny, jeżdżący z domu do domu i bawiący wszędzie po kilka miesięcy, a czasem i po roku. Dziś takich figur coraz rzadziej, ale dawniej rezydent był nieodzownym meblem do *szarego końca*. O dzięki niebu, że już te *szare konice* opuściły swoje stanowiska dworskie, że już rezydenci powymierali, a nowe ich pokolenie nie narodziło się jeszcze.

Zdaje się, że przecież już pojął *człowiek*, że nie jego rola być *pseni domowym*, faworytem pana lub pani, i wyglądać darmo kości z ich rękil... Pojął *zdaje się* i to, że wygodniej siedzieć u siebie i jeść z misy glinianej, choćby na ziemi postawionej, jak na srebrnych talérkach *szarego końca* zlizywać resztki niedojadków pańskich!

Tak mówię, bo tak mi się zdaje, a jeśli tak nie jest, to *przepraszam* za moje „zdaje się.“ Wracam więc do rodziny Gryffów.

Za nadejściem pierwszych dni adwentu, pani sama, zabrawszy obie córki, pojechała do W***, mając tam bawić aż do Wielkiej nocy, uważała bowiem że przez te kilka miesięcy obie córki mogą rozwinąć i wykształcić talenta, jedna dla dodania blasku swoim ponętym wdziękom, (bo talenta uważała jako ramy do obrazu) druga dla własnej przyjemności: bo i jej przecież należało mieć jaką przyjemność w życiu, zdecydowała pobłażliwie matka.

Owo więc upłynęło kilka tygodni, jak pani Gryffowa bawi w mieście W***. Jadwiga ogromne robi postępy w muzyce, biorąc lekye od najslawniejszego nauczyciela na całą Białorus, jak twierdziła miejscowa kronika. Magdalena tęp równie szybko postępuje w rysunkach, robiąc przesliczne pejzaże. Nauczycielem jej był młody Stefan, syn wychodźca z czasów kościuszkowskich. Miasto W*** nie inaugurowało go jeszcze na *slawnego* malarza, ale kto wie, czy rzeczywiście nie był to geniusz swojego rodzaju... ale geniusz, jak pięknie powiedział poeta: „choć tyle wiedzie na ziemi, sam zawsze jeden, zawsze sierota.“ A przechodząc wszystkie koleje sieroctwa, opuszczenia, nawet i wzgardy, kto wie czy nie w tych zapasach czerpie siłę życiową, zwracając wszystkie swe promienie ze świata zewnętrznego, w świat idealnego piękna, którego typ nie schwytywany na ziemi, lecz utworzony myślą i duchem artysty.

Stefan był jeszcze bardzo młodym artystą, bo liczył dopiero dwudziestą piątą „wiosnę życia“; ale w rzeczywistości nie miał on jeszcze ani jednej *wiosny* życia. Te przeżyte lata, były to same „zimy“, a że nie zamroziły ducha i krwi młodzieńczej, to należy przypisać temu świętemu ognisku geniuszu, co gorzało w młodzieńczych piersiach, nie rozprasając się na zewnątrz w drobniawych kwileniach i żalach nad dolą. Stefan od lat kilku był już ojcem rodziny, na którą pracował, rodzina zaś składała się z matki, trzech braci i siostry piętnastoletniej. Cóż powiem o życiu artysty-malarza, nauczyciela rysunków, w powiatowym mieście, gdzie sława jego waży się jeszcze między opinią znawców (a tych zawsze mała liczba), a publiczności, nie mającej częstokroć najmniejszego pojęcia o sztuce i znającej ją tylko, jak mówi Kremer, „tak jak zna botanikę koza, objadająca najrzadsze i najpiękniejsze rośliny“.

Historia to krótka i dobrze znana; wszakże nie od rzeczy będzie streścić ją tu w kilku słowach. Ojciec Stefana był niegdyś oficerem pod Kościuszką, ale późniejsze wypadki zmusiły go szukać schronienia na Zachodzie. Kapitan Z. zamieszkał w Paryżu i tam ożenił się z Polką, córką kolegi, pułkownika niegdyś, a dziś introligatora. Zięć zasiadł także przy warstacie teścia, a gdy w lat parę pułkownik przeniósł się do wieczności, kapitan Z. został *ex professo* introligatorem, i klejąc od rana do nocy, oprawiając książki, robiąc cacka dla dzieci, zarabiał na rodzinę. Bóg mu dał pięcioro dzieci, z których najstarszy był Stefan. Tu pozwólcie mi nieco dłużej powiedzieć o Stefanie.

Nie był on piękny, był mały i niezmiernie wątły budowy ciała, i można było przejść tysiąc razy koło niego, nie spojrzawszy nań, nie zauważywszy nic, prócz bladę cery, zdradzającą chorowite usposobienie, oczu nieco przymrużonych, świecących blaskiem księżycowym, ust jakoś bolesnie usmiechniętych i czola znacznie odkrytego, na którym dwie zmarszczki poprzeczne dodawały mu lat nieprzeżytych jeszcze. A jednak... gdy na tej twarzy, na tęp czole i na tych oczach zatrzymało się spojrzenie badacza natury ludzkiej, już długo nie mogło się zwrócić w inną stronę, jakby trzymane siłą niepojętą, a coraz odkrywało coś nowego, coś piękniejszego, coś bardziej tajemniczego. Stefan był, że użyję cudzego porównania, jak ów obraz Rubensa: artysta oceni go jednym rzutem oka, profan go pominie, bo mu się wyda ciemny, zatarty...
(Dalszy ciąg nastąpi.)

KORRESPONDENCYA OD REDAKCYI.

P. Wł. D. w *Krzywonosi*. Pomnik Kryskich w Drobinie wkrótce będzie zamieszczony; o innych zabytkach stron pańskich pomyślimy. Wszystkie swe przyrzeczenia redakcyi w dobrej ma pamięci; upraszamy tylko o cierpliwość i uwzględnienie okoliczności. Ilość dodatków od nowego roku 1861 pozostała mniej więcej ta sama co i dawniej; ubytek zaś dwóch albo trzech dodatków, w ciągu uplynionego półrocza, z okładem wynagrodzi zniesienie doniesień, zapelniających dotąd ostatnią ich stronicę.

RATUSZ W POZNANIU.

Podróżnika przybywającego z którejbądź strony do Poznania, zdala już wita smukła i nad wszystkie świątynie wznioślejsza wieża ratuszowa; skoro zaś w środku miasta do rynku się zbliży, ujrzy przed sobą cały ogrom tęp ozdóbnej budowy. Już od kilku wieków stary Poznań na prawym brzegu Warty, w około kościoła katedralnego się rozszerzał. Tam pierwszy biskup Jordan, jeszcze w ogólności polskim, nie poznańskim zwany, namawiał Mieszka I w pobliskim katedry zamku, do przyjęcia wiary Chrystusowej; tam przebywał wielki król Bolesław Chrobry; tam walczyli synowie Bolesława Krzywoustego o władzę nad krajami polskimi; kiedy jeszcze na lewym brzegu Warty, gdzie dzisiaj główne jest miasto, puste i niezamieszkałe rozciągały się niwy. Często dopiero rzeczne zalewy, kazały Przemysławowi, księciu wielkopolskiemu, dogodniejszej dla miasta szukać posady, przenosząc je na brzeg przeciwny. Tam na dwóch wzgórzach założył dwa pierwsze parafialne kościoły, św. Marcina i św. Wojciecha, trzeci zaś w środku pagórek obrał na zamek i mieszkanie książąt. Zamierzyl on widać nowemu miastu obszerny dać zakres, gdyż owe trzy pagórki dość są od siebie odległe. Gdy potem r. 1253 nadał mu prawo magdeburgskie, naznaczył także miejsce na ratusz ku staremu miastu, które po drugiej stronie Warty pozostało, bo łatwo mógł przewidzieć, że te dwa miasta, stare i nowe, kiedyś się zetkną i połączą. W przywilejach Przemysława I i syna jego Przemysława II, w XIII wieku z różnych okoliczności miastu nadawanych i dotąd w archiwum miejskiem przechowywanych, jest już wspomniany dom „Kammerhaus“ zwany; w XIV wieku akta radzieckie przy każdej niemal czynności, a przynajmniej przy rozpoczęciu każdego roku, zaczynają się od słów: „Działo się na ratuszu“ (Actum in praetorio). Bliższe jednak szczegóły o tym budynku nie przechowały się do naszych czasów; zdaje się tylko że był murowany, wspomina bowiem Długosz, iż w pożarze miasta 1447 r. wiele świątyń i domów murowanych ocalało; nie można więc wątpić, że i ratusz do owych murowanych domów należał. Z tego tęp zapewne powodu r. 1489 dnia 12 września, kapituła poznańska wysłała deputacyą do magistratu z prośbą, aby skarb katedralny przyjął na ratusz do schowania, jako w miejsce od ognia zabezpieczone. Gmach ten pierwiastkowy stał do roku 1508, w którym rozpoczęto budowę ratusza w kształcie okazałym i prawie jak go dzisiaj widzimy, a ukończono w r. 1514. Jak zaś kosztownie był stawiany, widzimy między innymi już ztąd, że wszystkie ramy drzwi są z ciosowego kamienia; także same dawniej były ramy okien, mury zaś na kilka łokci są grube.

Uszkodzony w wielkim pożarze miasta, dnia 6 maja 1536 r., został następnie ratusz przyprawiony do dawnego stanu, a nawet znacznie rozprzerstrzeniony i przerobiony. Trudnił się tą budową Jan Baptista, Włoch, architekt miejski, jak się to z kontraktu roku 1530 z nim zawartego pokazuje. Widać ztąd także, iż wieża ratuszowa, wraz z zegarem spalona i zniszczona, stała na środku rynku i do ratusza przytykała, kiedy obecnie wznosi się nad północną ścianą czworobocznej budowy. Roku 1675 dnia 9 sierpnia piorun spalił i zniszczył tę wieżę, z wielkim niebezpieczeństwem całego gmachu i miasta. Nowa odbudowana została dopiero w roku 1698. Prócz drzewa i roboty ręcznej, kosztowała 32,630 ówczesnych złotych polskich; na pokrycie jej wyszło przeszło 100 centnarów miedzi i uważaną była za arcydzieło budownictwa. Opisy mówią, że miedzią pobita, sztukami pozłocistemi przyozdobiona, tak się misternie rzemieślnikowi budującemu zdarzyła, iż monarchowie w czasie wojen szwedzkich i rosyjskich, dziwili się jej udatności i ozdobie i przerysowywać ją kazali. Wpierwszej kondygnacji tęp wieży, był wielki dzwon wiszący, alias cymbał, do bicia godzin, ważący 157 cent.; niżej zaś na murze na cztery strony wskazywały kompas, aby nawet z miastem będący mogli rozznać godzinę.

Wojna szwedzka za Karola XII, która tak ciężko dotknęła całą Polskę i Poznań, nie przepuściła także ratuszowi, a całkowitego zniszczenia jego dopełnił w roku 1716 Gniazdowski, regimentarz konfederacyi

tarnogrodzkiej, który walcząc w Polsce przeciw Sandom, zdobył miasto.

Nakoniec nadzwyczajna burza dnia 18 czerwca 1725 r., która w Poznaniu i w całej okolicy zrządziła niezliczone szkody, zwała także wieżę ratuszową. Wzniesiono wprawdzie r. 1730 nową, lecz ta nie wyrównywała poprzedniej. Miasto, zniszczone kontrybucjami i różnemi klęskami wojny szwedzkiej, nie mogło wdawać się w wielkie przedsięwzięcia, a nawet na tę budowlę musiało pożyczyc 13,000 złp. Ratusz więc w czasie wojen i później za panowania Augusta III całkiem zaniedbany i w znacznej części obrócony na magazyn dla wojsk zagranicznych, smutny przedstawiał obraz. Nawet ściany zewnętrzne miał porysowane; tylko cztery okna były dobre w izbie sądowej, a budynek groził niebezpieczeństwem.

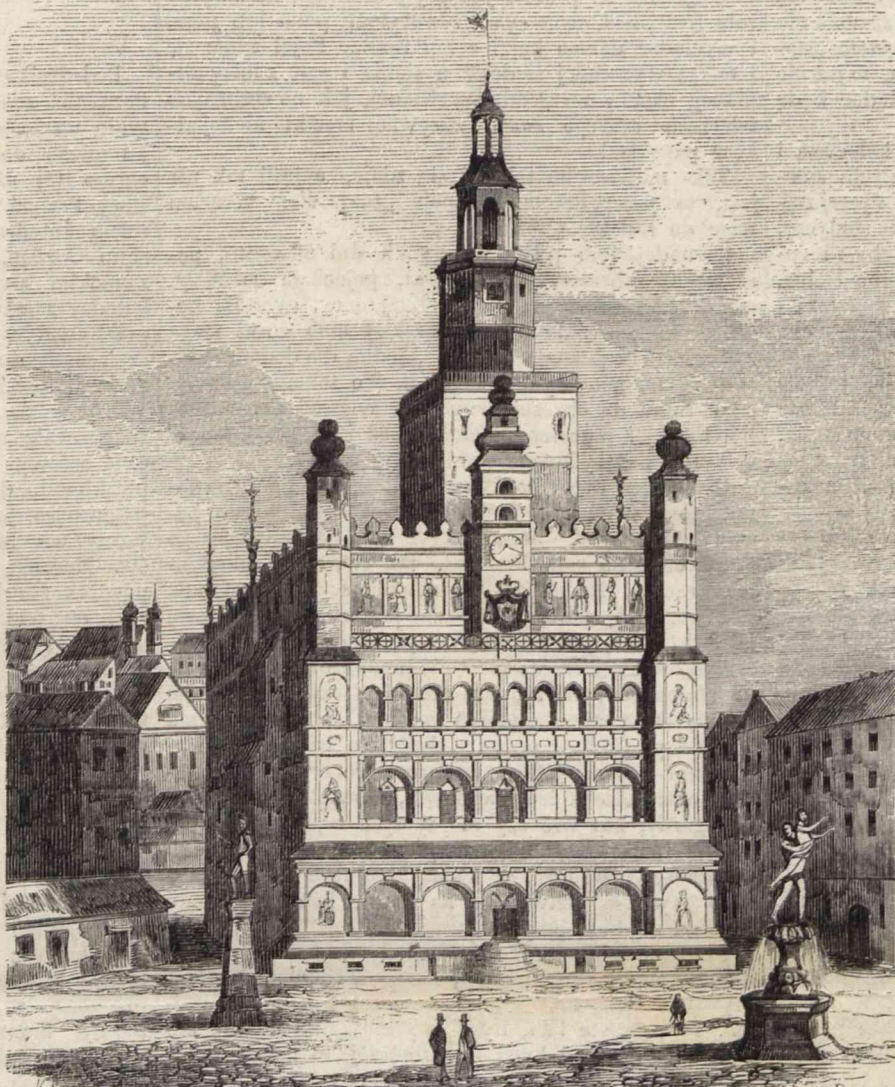
Za Stanisława Augusta Polska, nie-szczęśliwa pod innemi względami, cieszyła się wzrostem i niejako odrodzeniem ożywiających się nauk, sztuk pięknych i udoskonalonego smaku liczących wznoszących się budowli. Zdawałoby się iż ów król, prowadzący naród do upadku, chciał mu przynajmniej piękny grób wystawić, gdy ocalić i wznieść go nie zdołał. Za panowania więc jego, a staraniem Kazmirza Raczynskiego generała wielkopolskiego, ratusz poznański został naprawiony i nową uzyskał wieżę, przyczem postać jego nad drugim piętrem nieco zmienioną została.

Na tę reperacyą wyrobił Raczynski ze skarbu koronnego 35,000 złp. Dnia 19 lipca 1783 na wierzchołek wieży zaciągnięto orła, który z miedzi kształtnie zrobiony, nosi na swych piersiach herb króla i Rzeczypospolitej. Wewnątrz tego orła umieszczono pieniądze polskie w tymże roku bite i pismo na pergaminie, zawierające nazwiska osób podówczas rządzących: papieża, cesarza niemieckiego i króla polskiego, dalej ówczesnego biskupa poznańskiego i generała wielkopolskiego, nakoniec nazwiska różnych ówczesnych urzędników ziemskich i miejskich. Włożono także wewnątrz cztery ewangelie, relikwie i inne świętości. Jakiś podmajstrzy, rodem Szwajcar, pił wtedy ze szczytu wieży zdrowie króla, Rzeczypospolitej, biskupa poznańskiego i inne, a po wypróżnieniu każ-

dego kielicha, zrzucił go na ziemię. Zasługuje na uwagę, że trzy kieliszki rzucone na bruk z takiej wysokości, nie stłukły się, a mianowicie te, z których pił zdrowie Rzeczypospolitej, magistratu i bractwa kupieckiego.

Wśród tylu odnowień i reperacyj, postać ratusza

stopniach, dziś znacznie uszkodzony i od dołu zbity żelaznemi klamrami. Na wierzchołku jego stoi rycerz z dobytym mieczem, postawiony do słupa przymocowane są dwie żelazne kuny. Postawiony był roku 1335, jak świadczy napis na kamieniu wyryty. Pod tym pręgiem stawiano na widok publiczny złoźniców na śmierć skazanych, smagano pod nim złodziei i niewiasty nierządne go życia. Oprócz roku postawienia tego pręgiarza, są na nim wyryte jeszcze różne lata, począwszy od 1690 do 1825. Mają one zapewne oznaczać, iż w tych latach w Poznaniu złoźnicy śmiercią ukarani zostali, lubo podobne kary daleko częściej miały miejsce, aniżeli na owym pręgiarzu wyryto. Nad fontanną, obfitującą ciągle w wodę, wykuty z kamienia obraz, przedstawia porwanie Prozerpiny. Obok ratusza po jednej stronie wśród rynku jest dość znaczna ilość domów, dwiema ulicami na krzyż przeciętych. Tak ratusz jak i domy otacza rynek, w regularny czworokąt założony. Nie ma tam już owych dworów szlachty polskiej, jakie niedawno tu jeszcze posiadali Mielżyńscy, Garczyńscy, Szoldrscy i inni. Pozostała tylko kamienica, albo raczej dworzec Działyńskich, w którym świeżo zakończył żywot czcigodny Tytus Działyński. Ze 400 domów na rynku będących, ledwo 22 jest jeszcze w ręku polskiem, inne prawie wszystkie stały się własnością Żydów, a w małej części Niemców. Zasługuje na uwagę dom pod nr 50, w 16 wieku przez Jana Krotowskiego wojewodę inowrocławskiego wystawiony, zwany powszechnie w całym mieście domem pod daszkiem, z powodu iż nad jego głównym wchodem z rynku daszek się znajduje. Jego kształt zewnętrzny i wewnętrzne urządzenie, liczyć go każą do najdawniejszych pomników przeszłości. Na początku XVIII wieku należał ten dom do Pleśniewicza, burmistrza poznańskiego, który do siebie często w gościnę królów przyjmował. Tak od 1go stycznia 1716 r. mieszkał tu król August II przez miesiąc cały. Utrzymuje się w Poznaniu tradycya, że z pierwszego piętra tego domu wypadł z okna podchmielony Karol XII na daszek nade drzwiami dotąd będący i że ten daszek go wstrzymał i ocalił mu życie. Jeżeli to podanie na jakimkolwiek rzeczywistym wypadku jest oparte, to może się to przytrafiło Karolowi IX królowi szwedzkiemu, lub Augustowi II; co zaś do Karola XII, wiadomo że nigdy trunków upajających nie używał.



RATUSZ W POZNANIU. (Rysował Podbielski, podług miedziorytu Dietricha.)

bardzo zmieniać się musiała. W XVI i XVII wieku na ścianach zewnętrznych były malowania wyobrażające rozmaite osoby i zdarzenia, wzięte z pisma świętego i z żywotów świętych. Tak n. p. w r. 1648, przy odnowieniu ratusza, na zewnętrznej ścianie wymalowano wizerunek św. Stanisława Kostki, później obraz Chrystusa wyganiającego z kościoła przekupniów. Niedługo na wierzchołku wieży miały być statuy braci Lecha, Czecha i Rusa. Przy odnowieniu za czasów Stanisława Augusta, znikły z ścian ratuszowych wizerunki świętych, a odmalowano w głównej facycie wizerunki monarchów polskich, których zacierające się coraz bardziej rysy dotąd oglądać można; ukazała się także grubo poślaczana cyfra Stanisława Augusta.

Ratusz poznański był siedliskiem różnych władz miejskich i składem archiwów. Tam zgromadzano się na sądowe wiece i dwa razy w roku na roki poznańskie. Tam, prócz archiwum miejskiego, złożone były archiwa ziemskie, które teraz, wraz z archiwum grodzkiem, pomieszczone zostały w dawnym zamku poznańskim, obecnie gmachu sądu apellacyjnego. Przełożony nad tym archiwum profesor Józef Przyborowski, znany współpracownik Biblioteki Warszawskiej, odkrył dopiero teraz wartość tego zbioru, który jest może najbogatszym w całej dawniej Polsce.

Starożytne także archiwum miejskie, bardzo dobrze zachowane, podzielone jest na wiele gałęzi. Przywileje zaczynają się od r. 1253, akta radzieckie od 1398, akta judicii banniti od 1430, akta wójtowskie od 1501, kryminalne od 1502, szafarskie od 1582; oprócz tego znajduje się tam wiele dokumentów dotyczących się kościołów, szpitali, bractw i t. d. Najdawniejszy w nim zabytek języka polskiego jest z r. 1463.

Stanąwszy przed ratuszem, spostrzegamy jeszcze dwa przedmioty wspomnienia godne: po prawej stronie pręgiarza, po lewej ozdobną studnię czyli fontannę. Pręgiarza jest to słup kamienny dość wysoki, na kilku

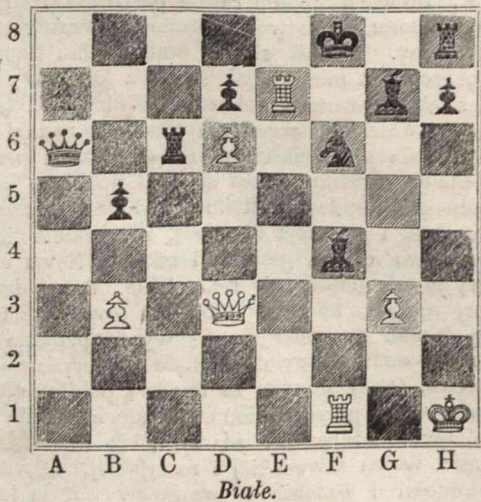
SZACHY.

ZADANIE LXVIII.

(S. R. w Warszawie.)

Białe zaczynają i dają mata za czwartym posunięciem.

Czarne.



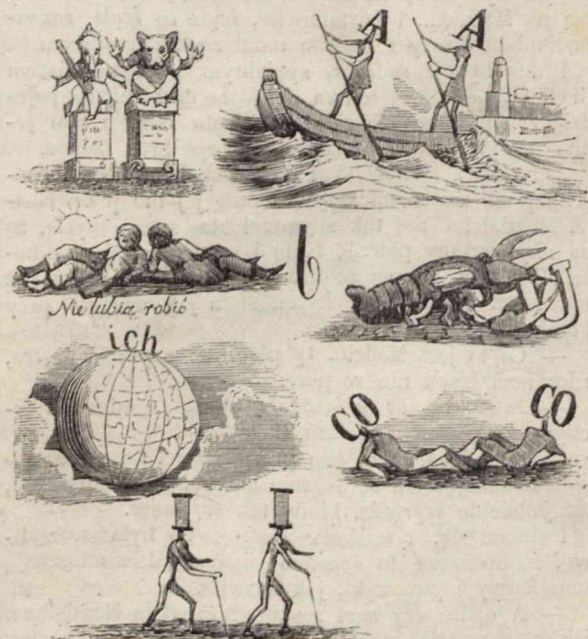
Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 67.

Białe.

Czarne.

- | | |
|-----------------------|--------------------|
| 1) H 3 — C 8 biorą † | 4) C 7 — C 8 biorą |
| 2) A 6 — B 6 biorą † | 2) A 7 — B 6 biorą |
| 3) A 4 — A 8 † | 3) B 8 — A 8 biorą |
| 4) C 6 — C 7 † i mat. | |

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 89.

Nie jeden nie widzi belki w oku swym, jednak dostrzeże stonki w drugich.